№ 51 Warszawa, dnia 10 (22) Grudnia 1883 roku.



I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kopiejek 80, miesięcznie kopiejek 60. — Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop. 50. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocz. złr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwar. w miejscu złr. 2 c. 75, na prowincyi złr 3 c. 50.—W POZNANIU prenumerować można we wszystkich księgarniach kw. w miejscu prenum. wynosi marek 5 na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.—Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Widok Nr. 3.

TREŚĆ: Od Redakcyi. — Gwiazda (wiersz).—Bunt mężczyzn—Jarosław Vrchlicki (wiersz). — Rosa Thea. — Przegląd literacki. — Z kraju i z zagranicy. — Zawiadomienie. W Dodatku: Kain. Przez Henryka Riviere. Przekład z francuzkiego (dalszy ciąg).

Od Redakcyi.

W przyszłym roku 1884, **Tygodnik Mód i Powieści** wychodzić będzie pod temi samemi co dotąd warunkami. Odwołując się w szczegółach do Prospektu oddzielnie wydanego, tu tylko donosimy, że w pierwszem półroczu udzielimy jako **Premium bezpłatne** wszystkim Prenumeratorom piękny **Oleodruk** za granicą przygotowany a mogący w oprawie stanowić ładną ozdobę każdego salonu.

O kosztach przesyłki Oleodruku i opakowania, niewielką wynoszących kwotę, później doniesiemy.

Warunki prenumeraty mieszczą się w każdym numerze pod tytułem.

NA PRZYJACIELA DZIECI
prenumerata wynosi:
w Warszawie **kwartalnie rs. 1.**
Na Prowincyi z przesyłką:

Kwartalnie. . . . rs. 1 k. 25
Półrocznie . . . . rs. 2 k. 50
Rocznie . . . . . rs. 5

W pierwszym półroczu roku przyszłego 1884, wszyscy Prenumeratorowie otrzymają jako **Premium, piękny Oleodruk bez żadnej dodatkowej opłaty**, jedynie za zwrotem niewielkich kosztów opakowania i przesyłki pocztowej.

Szczegóły co do samego Pisma mieszczą się w Prospekcie oddzielnie wydanym.

GWIAZDA.

O, gwiazda! już zeszła, już płonie, już świeci,
I rzuca na ziemię promienie,
I cieszy radością i nadzieje nieci,
I budzi — łzą cichą — wspomnienie. .

* * *

A blaskiem swym jasnym, dla wszystkich ma ona,
Te światła promienie rozrzucić,
Najwięcej — gdzie ciemno; najsilnej gdzie kona
Wytrwałość, odwaga; gdzie skrócić
Ma czarem nadziei mąk długich cierpienia,
Rozproszyć mgły ciężkie i szare,
Po znoju, po trudzie, dać trochę wytchnienia,
I szczęścia dać trochę — nie marę...

Więc gwiazdo promienna! zwiastuj narodziny
Światłości, — co nie ma już nocy;
Na wielkim zegarze, bić zacznij godziny,
Dźwięk których, da siły, da mocy
Tak wiele, że resztę rozproszym ciemności,
I zdepczem szatanów szyderstwa,
I wszystkich połączym uściskiem miłości,
Połączym — przymierzem braterstwa!

Ewelina B.

BUNT MĘŻCZYZN.

(THE REVOULT OF MAN.)

Przez

p. WALTERA BESANT.

Bez zbytniej przesady powiedzieć można, że kwestya praw kobiet jest tak starą jak świat, ponieważ istniała jeszcze przed naszą matką Ewą. Według starej legendy rabinicznej, Adam miał pierwszą żonę imieniem Lilita, ale ta była krnąbna i nieposłuszna. Adam oznajmił jej z góry, że chce być panem w domu, Lilita odpowiedziała, że prawa ich są zupełnie równe, więc i ona będzie rozkazywać. On nalegał, ona upierała się przy swojem, a tak pierwszą rozmową jaką świat usłyszał, była kłótnia małżeńska, która zakończyła się ucieczką Lility. Bóg wysłał aniołów, aby odprowadzili ją do męża, ale uparła się i nie chciała powrócić. Wtedy postanowiono wydać ją za szatana, a dla Adama Bóg stworzył Ewę. Po owym pierwszym wybuchu, kwestya kobieca drzemała, aż do naszych czasów, wprawdzie w żadnej epoce nie brakło pojedyńczych odosobnionych protestacyi, te jednak nie zdołały zbudzić jej z uśpienia. Ogłoszona, powiedzmy (aby nie drażnić nikogo)

wymyślona przez Adama przewaga mężczyzny, została z poddaniem przyjęta i uznana przez kobietę.

Otóż Lilitom XIX wieku, czyli stronniczkom pierwszej towarzyszki Adama, przypadło w udziale podniesienie kwestyi powstałej w raju ziemskim a miały one tę przewagę na swoją poprzedniczką, że mogły wykazać wypadki nadużyć i niesprawiedliwości. Mężczyzna znów nie śmiał być szorstkim i niegrzecznym jak Adam. Zamiast rozkazywać dowodził i rozumował, wykazywał dowodami zaczerpniętemi z fizyologii, historyi i literatury, że ogólne pojęcia są najzupełniej uzasadnione i że mężczyzna a kobieta to nie toż samo. Odpowiedziano mu na to, że jedyną różnicę stanowiła siła materyalna, że zresztą na każdem innem polu podejmowano się przekonać go o zupełnej równości. Amerykanie dali się nakłanić do zrobienia próby i otworzyli kobietom przystęp do ław uniwersyteckich, szkół medycznych, katedr nauczycielskich i do biór rządowych. Nie dość na tem, Stany Zachodnie pozwoliły im nawet być członkami sądów przysięgłych, ale przyznać musimy, że ta ostatnia próba nie powiodła się jakoś. Kobiety w wyrokach jakie wydawały, rządziły się uczuciem, nie troszcząc się o dowody; musiano więc wyłączyć je z sądów przysięgłych. W Konneklikut, w Wiskonsin i w innych miejscach, upoważniono je do wnoszenia obron przed sądem; w Nebrasce, gdzie domagały się prawa głosowania, odrzucono wprawdzie ich żądanie, ale tak małą większością, że nie potrzebują tracić nadziei. Jeźli więc nie zbraknie Amerykankom cierpliwości i wytrwałości, mogą być niemal pewne wygranej.

W Europie, sprawa kobieca niejednakowe we wszystkich krajach zajmuje stanowisko. W krajach południowych wcale prawie nią się nie zajmują. Niemcy nie poniżają się tak dalece, aby miały troszczyć się o jakieś tam skargi i krzywdy kobiece. Pamiętają tam dobrze, iż posiadający wielkie ich zaufanie filozof Schopenhauer, porównał uprzejmie kobiety do małp czczonych w Benarez, które sądzą, że im wszystko wolno i namawiał do przywrócenia wielożeństwa, aby tym sposobem przykrócić wędzidła tym niesfornym, pyszałkowatym istotom.

Francya, pomimo swej tkliwej pobłażliwości dla płci pięknej, o której niemieccy filozofowie żadnego nie mają pojęcia, nigdy nie traktowała na sero kwestyi praw kobiecych. Wymowne dowodzenia *mówczyń* na publicznych zgromadzeniach, nie zdołały zachwiać jej wiary w staroświecki *dogmat*: że władza i przewaga należy się mężczyźnie.

Wprawdzie w ostatnich czasach, pojawiło się tu i owdzie gronko odszczepieńców przyjmujących doktrynę równości intellektualnej obu płci, a niektóre bojaźliwe umysły z wielką trwogą stawiały sobie pytanie, czy rzeczywiście nie przyjdzie do tego, że kobiety wcisną się do stanowisk wyłącznie dotąd zajmowanych przez mężczyzn i zostaną adwokatami, deputowanymi, notaryuszami? Ale odważniejsi dodali im ducha, przekładając, że to zbyt wczesne obawy, gdyż obecnie nie zagraża jeszcze mężczyznom podobne niebezpieczeństwo.

Jedynym rzeczywiście poważnie zagrożonym krajem w Europie jest Anglia, gdzie, zarówno jak w Stanach Zjednoczonych, musiano otworzyć kobietom wstęp do uniwersytetów, a Izba gmin kilkakrotnie już debatowała nad *billem* o wyborczych prawach kobiet. Czynne i dobrze zorganizowane stronnictwo podtrzymuje tam ciągle ruch na korzyść kobiet, pokrzywdzonych przez prawa i przez obyczaje.

Zaciętość Angielek w zdobywaniu przemocą zawodów wyłącznie dotąd męzkich, wypływa z wyjątkowego prawie ich położenia. W Anglii łącznie ze Szkocyą, liczba ludności żeńskiej przewyższa męzką blizko o milion, i dlatego nigdzie nie ma tak wielu jak tam starych panien. Odwieczna ich narodowa legenda opiewa, że po śmierci zadaniem ich w niebie jest wycinanie gwiazd iskrzących się na sklepieniu niebios. Bardzo to piękne powołanie, ale zanim przyjdzie je spełniać, chciałyby tu na ziemi mieć zapewniony kawałek chleba i swoją niezależność. Jest to prawdziwa walka o byt. Anglicy bronią się dzielnie, głównie z tej samolubnej obawy, aby współzawodnictwo kobiet nie zapchało więcej jeszcze i tak już ciężkiego dostępu do wszelkich zawodów i zaczynają już pisać książki jak i co to będzie, gdy mężczyźni zostaną zdetronizowani.

Jeden z ich najznakomitszych i najdowcipniejszych pisarzy, p. Walter Besant, zrobił sobie zabawkę kreśląc obraz społeczeństwa angielskiego w XXI wieku, w pamflecie p. n. „Bunt mężczyzn” w którym pod przesadzonemi żartami przebija zasób praktycznego rozumu. Jest to królestwo fantazyi, połączone z państwem zdrowego rozsądku. Pomimo żartu graniczącego z drwinkami, zastosowanie tak bije w oczy, że i u nas łatwo będzie zrozumiane.

W społeczeństwie przyszłości jakie pan Walter Besant wymarzył, kobieta, szukając odwetu za przeszłość, uciemięża mężczyznę. Autor oburza się na to gwałtownie, ale zaraz zapytuje, czy słusznie? Dopokąd mężczyźni dzierżyli władzę, nadużywali jej bez najmniejszego skrupułu, dlaczegóżby kobiety nie miały ich naśladować, gdy tylko znajdą do tego sposobność? Leżało więc w porządku rzeczy i w naturze ludzkiej, aby Angielki pomściły się na Anglikach.

Odwet rozpoczął się od chwili wejścia kobiet do parlamentu. Od pierwszych zaraz rozpraw, mężczyźni uczuli się zgnębieni poczuciem swej niższości, nie dlatego, aby dowodzenia mówczyń były gruntowniejsze od dowodzeń mówców, ale że posługiwały się straszną bronią, zwaną w stylu parlamentarnym „osobistością” i to z wprawą i śmiałością odurzającą przeciwników. Mężczyznom zbrakło sił do walki; niecierpliwość i zniechęcenie zaczęły szerzyć się w ich szeregach. Pewnego dnia, gdy posiedzenie było burzliwsze niż zwykle, deputowani rodzaju męzkiego obu Izb, tłumnie opuścili salę. Popełnili przez to ciężki błąd. Zostawszy panią pola bitwy, opozycya przystąpiła natychmiastowo do rewizyi praw i dokonała tego łatwo i prędko. Przywrócono wprost prawodawstwo obowiązujące przed wielką reformą, zmieniając tylko porządek płci, tam gdzie prawodawca napisał „mężczyzna” napisano „kobieta” i na odwrót.

Wielki ten przewrót nastąpił właśnie z chwilą rozpoczęcia książki p. Waltera Besant „Bunt mężczyzn”. Kobiety zagarnęły wszelkie posady urzędowe i obowiązki publiczne, były ministrami prawnikami, agentami, policyantami, ale naturalnie wszystko szło jak najgorzej, było złe i dobre, jak we wszystkich sprawach ludzkich, tylko inne niż za rządów męzkich.

Przemysł wielce ucierpiał. Powodowane dobrocią serca, kobiety wydawały liczne rozporządzenia mające na celu ochranianie robotników od pracy niezdrowej lub niebezpiecznej, co zniewoliło nowy rząd do zamknięcia wielu fabryk i warsztatów: dzięki temu Birmingham i Manszester mogły cieszyć się czystem wiejskim powietrzem.

Ograniczenie nauk młodego męzkiego pokolenia do dawnych kursów pensyonarskich dla dziewcząt, nader zgubny cios zadało umiejętnościom i literaturze nadobnej. Pod tym względem kobiety zawiodły gorzko oczekiwania swego stronnictwa. Zapełniły wyższe zakłady naukowe, zdawały liczne wymagane dziś od mężczyzn egzamina, pozyskiwały niezliczone dyplomy, napisały stosy książek, ale siła twórcza się nie objawiała.

Niejedną jeszcze plamę możnaby wykazać w tym obrazie, ale nie brak też było licznych kompensat. Jeźli nie zadowolnienie, to przynajmniej doskonały spokój panował we wszystkich małżeństwach.

Jak tylko nie podlegało wątpliwości, że każdy mąż za złe obchodzenie się z żoną zostanie wtrącony do więzienia, obyczaje panów mężów nadzwyczaj złagodniały i całe ich życie zupełnej uległo zmianie. Od czasu jak matki ciągle zajęte były za domem, ojcowie musieli zastępować ich w domu. Zarządzali gospodarstwem, pilnowali dzieci, zajmowali się kuchnią, a spokojne te zatrudnienia nader korzystnie oddziałały na ich charakter.

Z pierwszego wejrzenia powiada autor, ostatni ten szczegół wyda się nieprawdopodobnym, ale chwila rozwagi przekona każdego, że były to nieuniknione następstwa nowego porządku rzeczy. Gdy kobietom zbraknie czasu albo chęci być opiekunami rodzin, chcąc niechcąc, mężczyźni zmuszeni będą je zastąpić, i dlatego to właśnie, mówiąc nawiasem, wielka ich liczba krzywem patrzy okiem na nowy system edukacyi kobiet. Nie mają oni żalu do wyższych szkół i uniwersytetów o to czego w nich uczą kobiety, ale o to czego nie uczą i od czego oduczają. Nie upatrują w tem groźnego niebezpieczeństwa, że uczą się strzębków algebry i chemii, ale zarzucają tem naukom, że kradną godziny potrzebne do zajęć domowych i prac gospodarskich. Zarzucają ustawom szkolnym i wyższym zakładom naukowym, że nie wyznaczono choćby kwadransa codziennie na naukę dziewcząt zamiłowania domowego ogniska, co przecież jest daleko ważniejszem niż umiejętność rozwiązywania, równań choćby drugiego stopnia.

Angielki XXI wieku, nauczone własnem doświadczeniem, strzegły troskliwie, aby nie rozbudzono w ich mężach pragnień mogących zniechęcić ich do podrzędnych przeznaczeń: lękały się kontr-rewolucyi. Czas zaoszczędzony na nauce, poświęcono rozwijaniu w chłopcach powabów i dzielności ciała, tak więc pod rządem kobiet, w ciągu kilku pokoleń, Anglicy stanowili najpiękniejszą pod słońcem rassę mężczyzn, co przecież ma swoje znaczenie. I nie byłoby powodu obawy o trwałość nowego porządku rzeczy, gdyby nie błąd niepowrotny, niedostrzeżony skutkiem roztargnienia jego twórczyń.

(*D. n.*)

JAROSŁAW VRCHLICKI.

CUDOWNY KWIAT.

Ballada, którą wyśpiewałem w dzień urodzin mej dobrej pani.

W marzeniu duch mój setki lat
Obiegał cały boży świat,
By najpiękniejszy znaleźć kwiat.

Chciał znaleźć piękna, wdzięków szczyt,
Gdzie kwiat dobroci wciążby kwitł,
Gdzieby połyskał raju świt.

Poleciał, ugiął łany zbóż,
Na których pjane wonią róż,
Motyle śniły w blaskach zórz.

I lecąc padł na miękkie mchy,
Zcałował rosy srebne łzy;
I leciał przez czeremchy, bzy.

I zbierał świegot z ptaszych gniazd
Co szepcze fala, jasność gwiazd,
I ciszę wsi, i gwary miast.

Powoju kwiat i bluszczu liść
Czeremchy wonnej śnieżną kiść,
Kłos z pola, kędy musiał iść

Księżyc, co patrzał w morską toń,
I w łonie lilii śpiącą woń,
I uwił wieniec na twą skroń.

Deszczami gwiazd i słońca strzał,
Muzyką fal i ciszą skał,
Upajał się i szczęściem drżał.

Wtem znalazł ciebie. — Co za cud!
Zbladło, co zebrał z łąk i wód,
I znów żebrakiem był, jak wprzód.

Darować chciał ci, co już masz,
Róże — te zdobią twoją twarz,
Gwiazdy — to duszy twojej straż.

Bo tyś to ów cudowny kwiat,
Co rośnie tylko raz w sto lat,
Jakiego nie ma cały świat!

Na oczy wziąć go — wróci wzrok,
Że dusza ziemskich zbywszy zwłok,
Ku niebu wzleci ponad mrok.

Na skroń położyć — rzeźwy znów
Wędrowiec wstanie, chory — zdrów
Bez leków będzie i bez słów.

Na sercu wreszcie kwiat ten mieć,
To znaczy wiecznie szczęsnym być,
Wieczyście kochać, wiecznie żyć!

Przełożył z czeskiego *Miriam.*

ROSA THEA.

OBRAZEK Z ŻYCIA

przez

Ewelinę Badowską.

(Dalszy ciąg.)

— I tytułem jej, który panią obraził.

— Nie obraził, bynajmniej, tylko...

— Tylko co?

— Zadziwił i potrzebował komentarza, odpowiedzi.

— Za tę odpowiedź — gorąco zawołał młodzieniec — stokrotne ci dzięki pani, teraz już i treść jej łatwiej zrozumiem i odczytam.

— Tak pan sądzisz, a czy cię nigdy tytuł nie zawódł.

— Ten nie zawiedzie, pewny jestem, może tylko nie odrazu całą treść zrozumiem, ale jak powiedziałaś pani co on zawiera w sobie, tak sądzę, proszącemu dopowiesz i resztę.

— Być może, nie wiem jeszcze—rzekła uśmiechnięta kobieta i rumieniąc się lekko, spuściła przed spojrzeniem młodzieńca powieki, wzrok jej padł na trzymany w ręce bukiecik, dar jego. Usłyszała powtórnie wymówione pytanie. Wszak dopowiesz i resztę?

— Dopowiem — rzekła słodko i cicho — ale— i podniosła trzymane w ręce kwiaty — pan mi powiesz także o dziejach róży w twem życiu.

— O zgoda! — zawołał młodzieniec i jakby na potwierdzenie wyrazu tego, wyciągnął rękę po drugą dłoń kobiety: nie odmówiła, uścisnął ją silnie, gorąco, a ożywiony, wesoły, jakby nie ten który z Wiednia wyjechał, wskazał swej towarzyszce bliższą choć stromą ścieżkę „Katzenstech" przez miejscowych nazwaną górali, którą przeszedłszy dojść mogli prędzej do wrzosowej dolinki, ku której zdążali najprzód turyści nasi.

Stanęli też na miejscu pierwsi a nadchodzące grono z małym Styryjczykiem i pięknym siwiejącym mężczyzną na czele powitało ich radosnym okrzykiem.

— A co, czy nie mówiłem — zawołał wesoło siwy przewodnik — że nie trzeba ani się oglądać, ani troskać, ani czekać na panią Maryę, da ona sobie rady sama wszędzie. Ocho, i jeszcze gdzie zechce to każdego zawiedzie, a zawsze wszystkich wyprzedzi.

— Nie dobry z pana pochlebca, gdybym ja też tak w dobrej wierze brała na seryo wszystko co o mnie mówicie panie Janie i wierzyła temu choć w części, to źle by z nami było stary mój przyjacielu.

— A zaraz stary, stary i tak każdy widzi siwą czuprynę, a niech no się pani zapyta towarzyszki mojej, czy byłem przy wdrapywaniu się na tę górę ostatni.

— Ostatnim, nie widziałam was nigdy jeszcze panie Janie.

— O, z was to pochlebnica, a gniewa się, gdy jej kto prawdę powie, sama żartując sobie ze wszystkich swoich giermków i rycerzy.

— Giermków i rycerzy, jakeście pięknie powiedzieli na obecną chwilę, bo doprawdy, przybieram się w urojoną dostojność kasztelanki i wszystkim tu zebranym damom i panom proponuję, a nawet jako pani ich, rozkazuję na cały dzień dzisiejszy przyjąć abdykacyę moją bez szemrania, na rzecz obecnego tu, a dostojnego pana Jana, którego namiestnikiem moim ustanawiam.

— Do niego więc w dniu dzisiejszym należy wydawanie rozkazów wszelkich, a do nas posłuszne ich spełnianie, na co, wszak godzicie się wszyscy wasale moi.

— Zgoda! zgoda! — wołano zewsząd wesoło.— Witamy was i pozdrawiamy margrabio! kasztelanie! książę!

— Cicho, cicho — rzekł uśmiechający się frasobliwie nowo kreowany dostojnik i targał swe siwe sumiaste wąsy, aż pogroził zdetronizowanej pani Maryi.

— Nie mówiłem, że zawsze co chce to zrobi, niby to abdykowała na rzecz moją, a samym tym faktem uznając się królową, wszystkich was na posłusznych poddanych zapisała sobie: tak ona zawsze robi.

— A jednak ojczulku, czemu ty się nie buntujesz nigdy przeciw rozporządzeniom pani Maryi i siwy poddany najgorliwiej spełniasz rozkazy młodej pani naszej?—zaszczebiotała hoża dziewczka uśmiechając się filuternie.

— A panience nic do tego, tylko w drogę razem z nami — a odwracając się do całego grona — marsz! — zakomenderował po wojskowemu rozweselony siwy przewodnik.

Obejrzał się tylko parę razy a ujrzawszy panią Maryę z jej towarzyszem w ostatniej parze, zawołał:

— Panie Jerzy, królowa zachowuje dzisiaj incognito, ale jutro wraca do władzy i uprzedzam cię, że wspaniale nagradza lecz i surowo karze.

Pani Marya wesoło się rozśmiała.

— A wymierzanie kar, zacznę od zawiele sobie pozwalającego namiestnika mego.

— Mnie zaś druga z rzędu należéćby się powinna, lecz sądzę, że pani przed wydaniem wyroku niepoczytalność winy mojej łaskawie byś przyznała — spytał Jerzy.

Pani Marya pytająco spojrzała na towarzysza swego.

Należałaby mi się kara, za zuchwalstwo pożądania towarzystwa królowej dla siebie, a choć byłbym tylko jej towarzyszem, i na tę jeszcze dostojność, ogólna tylko państwa rada, pozwolenie udzielićby mi mogła o które tak śmiało sam prosiłem, lecz nie wiedziałem...

— Że wesoły stary mój przyjaciel zamianuje mnie na dzisiaj królową. Ale nie obawiaj się pan kary, bo sama najprzód przed surowym sądem narodu mego stanąć bym musiała, udzieliłam ci pozwolenie sama, nie zwołując sejmu żadnego.

— Lecz wróćmy do zwyczajnych ról naszych, to jest prostych podróżników, którzy przyjechali tu po to, żeby...

— Niezapomnieć może nigdy, że tu byli—przerwał lekko blednąc Jerzy.

II.

Nazajutrz, około południa, w jednym z pierwszopiętrowych numerów Nord-hotelu na Praterze, siedział znajomy nam Jerzy, a przed nim na stoliku leżał list świeżo otwarty.

— Czy dobrze, że mi go wczoraj nie oddano...? Może nie byłbym należał do tej wycieczki, ale, dlaczego nie miałbym jechać? To dziwne! i ruchem niecierpliwym odsunął stolik, ze spokojnie leżącą na nim zapisaną ćwiartką papieru.

Lecz usunięty stolik nie usunął niepokoju z czoła młodego człowieka, rzucił ledwie co rozpoczęte

cygaro, otworzył okno i gwałtownie chodząc po pokoju mówił do siebie głośno:

— Co u dyabła, straciłem równowagę — dalszy monolog przerwało hałaśliwe drzwi otwarcie.

— A ty niegodziwy hypokryto, Judaszu, zdrajco! a gdzie to byłeś wczoraj? a z kim to jeździłeś? a komuś to służył dzień cały?

— No, no, dosyć tego.

— Wcale nie dosyć, i ani ci to myślę przebaczyć i zapomnieć, tak jak ty zapomniałeś, że razem na Semeryng pojechać mieliśmy.

— Widzisz bo — przerwał Jerzy, niechętnie się tłomacząc — złożyło się to tak nagle, w sobotę, gdyśmy wszyscy razem wracali z wystawy tramwajem, pan Jan rzucił ten projekt, wszystkim się od podobał, dzień jeden w górach, po tym piekielnym upale tutejszym, a że to tak rano się wyjeżdża, gdzież cię było szukać na twoim Wideniu. Ale z czego się śmiejesz; gdy ja mówię prawdę z czegóż się śmiejesz? Cóż to za plotki?

— Ha! ha! ha! teraz to już doprawdy śmiać się z ciebie można, jakie plotki? ha! ha! to plotki żeś jeździł koleją wczoraj na Semeryng.

— Daj no pokój Stefanie — brwi marszcząc przerwał Jerzy — wiem co twoje żarty i śmiechy znaczą, ale nie jestem usposobiony dzielić je z tobą.

— A cóż ci się to stało? ej, czy czasem nie na kobiece bierzesz się wykręty i będąc winnym, obrażonego udawać zamierzasz. Nie uda ci się to jednak Jurku, nie — a uśmiechając się mówił — widocznie bałeś się strasznie, żeby moje krucze kędziory i wspaniała broda, nie wyglądały lepiej od twojej płowej czupryny i chmurnego oblicza.

— A szczególniej twój dowcip przy braku mojego.

— Brak ci czegoś rzeczywiście Jerzy — zawołał żartujący dotąd wesoło młodzieniec, a serdecznem spojrzeniem obejmując towarzysza, dojrzał dopiero troskę w pochmurnem jego oku i niepokój na czole.

Jerzy milczał długą chwilę, lecz widząc życzliwie w siebie wpatrzone źrenice przyjaciela, podszedł do odsuniętego stolika, wziął leżący papier i ukazując go Stefanowi, rzekł ponuro i sucho.

— Mam list od ojca.

— A w tym liście, Jerzy?

— Stanowcze dictum, brzmiące: wracaj w tej chwili, lub napisz dlaczego w Wiedniu chcesz pozostać jeszcze, co, jako prawda naga, dla mnie znaczy: wyrzecz raz stanowczo, czy żenisz się z Klotyldą, czy nie.

— Długa cisza zapanowała w pokoju. Na czole obydwóch młodych ludzi zbierały się chmury, lecz Stefan obserwując Jerzego zrobił nagle jakieś postanowienie, oczy strzeliły mu gorąco, zarumieniło się czoło, siadł obok przyjaciela i ujmując dłoń jego z serca idącym zapytał głosem.

— Jerzy, opowiedz ty mi wszystko a szczególniej to, co cię tak żywo boli w chwili obecnej. Nie chciałem i nie umiałem być natrętnym, Jurku: nie pytałem dotąd o nic, choć od kilku tygodni codzień cię prawie widzę, lecz przyjacielu, nim się rozjedziemy, chciałem koniecznie pomówić z tobą otwarcie. Może Jerzy nie zobaczymy się więcej w życiu.

— Chętnie Stefanie — odrzekł Jerzy, a serdeczny uścisk dłoni odpłacając równymże uściskiem, dodał — ale gdzież to są te wielkie tajemnice życia mego, których byś nie znał Stefanie.

— Może je znam lecz niedokładnie i dlatego wielu nie rozumiem rzeczy.

— Pytaj.

— Powiedz mi Jerzy, w jaki sposób umieścić się mogą w twojem sercu razem pani Marya i panna Klotylda?

— A któż ci powiedział, że one są tam razem, lub że z nich jest choć jedna?

— No, to już chyba nie mam oczu Jerzy, tobie się pani Marya niepodobała?

— Podobała niezmiernie, ale i panna Klotylda podobała mi się bardzo, a w dodatku i jam się jej podobał...

— A czego nie wiesz stanowczo o pani Maryi— przerwał dość niezręcznie Stefan.

— I co razem wziąwszy, jeszcze nie jest racyą, żebym, kończę już twoim powieściowym stylem „miał je obie mieć aż w sercu mojem".

— O formę stylu tu nie chodzi, stara i powieściowa przypuśćmy, ale że ma utarte już definicye i wyborne odcienia, pozwól, że ją zachowam. Pytam dalej: nie w sercu tedy, a więc panna Klotylda w głowie wybornie sumującej wszystkie dane, a pani Marya, czy w rozbudzonej tylko wyobraźni, Jerzy?

— Nie Stefanie — przerwał zapytany żywo — znać jednak, że chodzisz na technikę a psychologii i fizyologii nie słuchałeś nigdy, bo byś wiedział zkąd wyobraźnia rodem i rozróżniając tak bardzo te dwie kobiety, nie dawałbyś obydwom miejca blizko siebie.

— Właśnie, że jest inaczej — odrzekł Stefan uśmiechając się nieznacznie — bo dowiodłem tym razem, że znam i nawet znakomicie pierwiastki uczuć wszelkich. Wypędzoną z serca twego, a zajmującą cię mocno kobietę, umieściłem też w głowie tylko, przypuśćmy, w pewnej od panny Klotyldy odległości, bliżej węzłów nerwowych.

Jerzemu jakby różowa łuna przemknęła po czole, milczał chmurny.

Stefan to spostrzegł i ironicznie uśmiechnięty kończył.

— Nierozumiem więc Jurku żywej twej protestacyi, sąsiedztwa pań tych znieść nie możesz, ani w głowie, ani w sercu, a wyznajesz głośno, że obie ci się podobały bardzo. Wytłomacz mi to przyjacielu.

— Ba, chcesz tego, do czego sam nie doszedłem jeszcze. W chwili gdyś wchodził do mnie, kląłem właśnie siarczyście, że straciłem zwykłe equilibrum moje.

— Z którego, któż cię wytrącił, czy pani Marya.

— Chyba... bo przyznaj sam, że to szczególna, niezwykła kobieta...

— Wybacz Jerzy, przerywam, wrócimy wkrótce do niej, lecz żebym dobrze zrozumiał wszystko, odpowiedz mi najprzód na pytań kilka o kuzynie twej Klotyldzie.

— Chętnie.

— Wiem to tylko, że jest daleką twą krewną.

— Tak, w dwudziestym przypuśćmy stopniu.

— Od dzieciństwa waszego, uprojektowaną przez rodziny twą narzeczoną.

— Tak, przez jej opiekunów i ojca mego.

— Że jest bogatą.

— I bardzo nawet, a do tego od roku zupełną już panią swej ogromnej fortuny, którą opiekun chętnie oddał jej pod zarząd, oceniając jej rozsądek.

— I że jest ładną i strojną jak najmodniejsza lalka z najmodniejszego magazynu.

— Ładna, tak, strojna, ma na to.

— Otóż wiem to tylko, o resztę cię pytam.

— A cóż ty chcesz więcej? Ładna i bogata, nie wszystkoż to?

Stefan podniół na mówiącego oczy i chciał z nich prawdę wyczytać, bo dziwnie brzmiały te trzy z naciskiem wymówione wyrazy. Był w głosie Jerzego sarkazm a razem jakby echo głębokiego bólu.

— Jerzy, ty wiesz o co pytam, nie szydź przyjacielu.

— O mój drogi, mówię prawdę, w tych dwóch słowach mieści się cała treść kobiety, a jeźli chcesz genealogicznych wywodów, służę ci niemi. Pradziad panny Klotyldy...

— Przestań Jerzy!

— Bądź cierpliwy, nie przerywaj. Kasztelan, to bardzo mądry pradziadek, gdy inni potracili imiona, fortuny i życie, on nie stracił niczego i tak pięknie manewrował, że nie zszarzawszy imienia, został szczęśliwym posiadaczem dóbr ziemskich wszelakich, o niebieskie dla siebie umiejąc także przez pobożne fundacye do niebios kołatać. Tradycyę więc zostawił dla potomków do naśladowania godną. Z wodą, nigdy pod wodę, jeśli można na wierzchu, w niebezpieczeństwie, nura, gdy minęło, znów po wierzchu. Potomkowie kasztelana nie przerywając mu snu błogosławionego pod marmurowym pomnikiem, wiernie za wskazanym przykładem płyną, umiejętnie ster trzymają, któren w obecnej chwili ujęła w małe, alabastrowe dłonie kuzynka moja Klotylda, ostatnia z rodu.

— Gdzież się kształciła?

— Zabawny jesteś, a gdzież się to panny nasze, to jest prawnuczki kasztelanów lub wojewodów kształcą? W sacré coeur paryzkiem lub w innych sacré coeurach. Wychodzą z tamtąd białe jak lilie, sztywne jak lilie i jak...

— Daj pokój Jerzy, proszę cię, niechciałem tego wszystkiego, rozdrażniony jesteś i mówisz nie to o co pytam.

— Dajże ty mi pokój, bo cóż ci powiem więcej? Urodzone panny idą za urodzonych, bogate, za bogatych, salonowe lilie, za salonowych narcyzów. Ksiądz w fijoletach błogosławi, wagon pierwszej klasy wiezie pod włoskie błękity, dom wykwintnie urządzony czeka na młodą parę. Państwo wracają. Pani przyjmuje gości, kupuje gałganki, gospodaruje w koronkach i brylantach, na balach na ubogich, bawi się i nudzi, tak mija lat parę. Potem sprawdza bony z trzech stron świata, od bon odbiera dzieci i znów je obcym oddaje, a tymczasem o partyach dla swego potomstwa między familią radzi. I potem po latach iluś następuje znów to, co było w pierwszym rozdziale ich wspólnego żywota: ślub, podróże, etc. Pan zaś, ma z plenipotentem lub rządzcami kwadransowe rozmowy, ma swoich znajomych a czasem i znajome, obowiązek utrzymania stosunków i imienia czasem jeszcze urząd jaki na którym nie urzęduje, dobrze płatny albo i honorowy lub obywatelski, wspólne projekta z żoną co do losu potomków, spokój w domu, attencye za domem, pochlebstwa od uboższych i, wszak już wszystko, niczego więcej nie potrzeba...

Nie patrzże na mnie tak tragicznie Stefanie, toż wymarzony żywot szczęśliwego człowieka. Głupcy tylko z ciekawością wchodzą w życie i chcą coś jeszcze od niego, głupcy tylko wybierają chałupę, gdy wygodny dom mieć mogą i wprowadzają pod dach swój troskę i ideały, gdy spo-

kój i wygoda ich czeka. Czyny, praca, śliczne bożyszcze by mus pracy ozłocić, miłość, sentyment dla pensyonarek, poświęcenie, ofiara, sensacyjne dla mówców trybunowych wyrazy.

— Skończyłeś Jerzy?

— Skończyłem.

— Od jak dawna tak mówisz przyjacielu?—spytał Stefan powstawszy — od jak dawna?—powtórzył głosem przenikliwym i czarne źrenice zatopił w chmurnej twarzy towarzysza. — A gdziem ja cię to poznał Jerzy, gdziem pokochał i niewiele starszego słuchał i szanował, gdzie i po co byłeś z nami?

Jerzy milczał.

— Jurku, czy często miewasz podobnie żółciowe napady?

— Zawsze wtedy, gdy spotykam podobnych jeszcze tobie ludzi Stefanie.

— To jest...

— Ludzi, których mi żal, że niosą światu skarby, które on roztrwoni marnie, ludzi, którzy mi przypominają bohaterów powieściowych, ludzi kochających, pragnących i wierzących jeszcze...

— A, tak mi mów, nareszcie harmonijna nuta, daruj jedyny, rozjątrzyłem ci może źle zagojone rany, rozbudziłem bolesne wspomnienia, daruj Jerzy.

— A teraz — rzekł po pauzie małej — kiedy panna Klotylda wyjechała już z Wiednia i swą obecnością nie zaszczyci nas więcej i my jej także nie wspominajmy.

Jerzy stał przy oknie, błękitne oczy płonęły mu niezwykle, brwi zmarszczone i gorzko uśmiechnięte usta, nie godziły się ze słowami, któremi przed chwilą apostołował nicestwo człowieka.

Stefan patrząc na niego myślał pewno to samo, bo z wyrazem otuchy pełnym przystąpił do przyjaciela, a naśladując głos jego i giest, rzekł: „bo przyznaj sam, że ta niezwyczajna kobieta, jest ona...” tu przerwałem, cóż dalej Jerzy.

Jerzy nie zrozumiał zrazu, ale opamiętał się po chwili i przypomniał słowa własne. Ze zmienionym nagle wyrazem na pięknej twarzy, kończył:

— Rozumna i poważna bardzo a dobra i serdeczna, młoda a stara, skromna i naturalna a onieśmielająca, zupełnie jej nie rozumiem.

— A piękna, nie dodałeś.

— Wiesz, że mnie to w niej z początku najmniej zajęło; długo nie byłbym nawet umiał opisać jej powierzchowności, choć mnie tak mocno zainteresowała. Wyraz jej całej postaci, nadaje jej tę siłę, powab, urok.

Stefan się uśmiechał, lecz nie chcąc drażnić przyjaciela dodał poważnie.

— I na mnie, gdym ją tu teraz w Wiedniu zobaczył prawie takie same zrobiła wrażenie, lecz myślałem, że to moja nieznajomość świata i ludzi jest przyczyną tego dziwnego uczucia, ale sądzę teraz o tem inaczej, gdy i ty, człowiek nie oczekujący już nadzwyczajnych niespodzianek od świata, tak ją oceniasz.

Jerzy milczał.

— Wszyscy wokoło garną się ku niej, lecz ty, jak uważam i do czego po części sam się przyznajesz, specyalnie ją studyujesz. Przed chwilą, choć za gorzko, scharakteryzowałeś panny z waszych salonów, dawniej zaś kiedyś, gdyśmy o kobietach kwalifikujących się na żony mówili, dodawałeś jeszcze do salonowych lalek, skrzętne gospodynie i deklamujące do księżyca lub jutrzenki tylko co rozwinięte pączki: do którego więc z tych działów mówił Stefan uśmiechając się pod wąsem nieznacznie, panią Maryę zaliczasz?

— Do żadnego nie mogę — odrzekł poważnie zamyślony Jerzy.

— A mnie się zdaje—po chwili namysłu rzekł Stefan — że to co najczystsze i najidealniejsze z salonu, domu i nauki, to właśnie ona to posiada.

— Otóż znalazłeś słowo, idealna, tak idealna, za idealna. Interesuje, to prawda, lecz sprawia zarazem i pewien niepokój, że inna i dlaczego inna jak wszystkie. Czy uwierzysz Stefanie — dodał z ironicznym uśmiechem, żem ja parę razy spuścił przed nią oczy jak student.

— Jako na wyznawcę zwykle o kobietach wygłaszanych teoryi, to przyznaj sam, dość śmieszne.

— Przyznaję a i ty to przyznaj, że wcale nie nęcąca rola, uczuć się skrępowanym wobec interesującej nas kobiety. Szukasz i pragniesz jej towarzystwa a dwoistego doznajesz przy niej uczucia, dobrze ci i przyjemnie a razem jakiś niepokój i niezadowolnienie ogarnia cię na przemiany. Wtedy nawet, gdy wesoła tak ci poważnie patrzy w oczy, tak niemi w głąb piersi zagląda, że czujesz strach niemal, by tam pustki nie dojrzała. A jaka niewyczerpana dobroć widoczna w każdym jej kroku i słowie.

— Czy masz jej fotografię? — spytał Stefan.

— Mam, od pana Jana, jej nie śmiałem prosić — i mówiąc to wyjął z pugilaresu portret młodej kobiety a patrząc w niego, mówił dalej:

— Nie znam kobiety kształtniejszej, zdaje się, że to jakiejś helleńskiej, rozkosznej bogini postać, a gdy znów spojrzysz na to dumne, spokojne, białe czoło, lub na te jej ciemne a razem jak gwiazdy jasne oczy, lub gdy ona niemi spojrzy na ciebie, to znów się zdaje, że to jakaś dziewicza postać wajdelotki, strzegąca świętego Znicza. Otóż te sprzeczności są w niej dla mnie zagadką i one to — mówił coraz wolniej, jakby słów dobierając — budzą we mnie... uczucie... wielkiej ciekawości.

— Słuchaj Jerzy — przerwał Stefan — czy ja czasem jak wieszczbiarz, zagadki nie rozwiążę i prawdy nie odgadnę.

— Słucham cię.

— Wajdelotka stała u ognia świętego, dziewczęciem powołano ją do służby bogom, nieznającą świata, wprowadzono na poświęconą górę, powiedziano o jej wysokiem, świętem powołaniu, nakazano cześć dla siwobrodych starców kapłanów, nauczono kilku pieśni o bohaterach wielkich, przykazano strzedz ognia świętego i zostawiono samą. Dziewica strzegła świętych płomieni, pełniła ze starcami służbę u ołtarza a w długich samotnych godzinach czuwania, śpiewała wyuczone o zmarłych bohaterach pieśni. Słyszały ją tylko szumiące wokoło puszcze ciemne, a czasem jeszcze wtórujące jej dziko wichry od Baltyku. Lecz raz, przy samotnej u ognia służbie, zastał ją, wajdelotkę Birutę, młody, waleczny Kiejstut bohater. Dziewica pochyliła się w namiętny uścisk młodzieńca, w postać żywego bohatera wcieliła niewieście mary swoje i w własnej piersi rozpaliła ogień święty.

— Toś ty poeta Stefanie — zawołał uśmiechnięty Jerzy.

— Poeta, broń Boże, owszem, zdobywający sobie z trudem powszedni kęs chleba, bardzo trzeźwy robotnik, ale, twoje to właśnie poetyczne porównanie pani Maryi do rozkosznej helleńskiej bogini, a razem surowej litewskiej kapłanki, które, jako dwulicowość postaci jej zestawiłeś, nasunęło mi myśl tę, która zdaje mi się, że i twoją krytykę wytrzyma.

— Być może, o ile znam jej przeszłość z opowiadań twoich i pana Jana. Choć trzeba zrobić zastrzeżenie małe, dla krytyka bylibyście w czerpaniu szczegółów bardzo złemi źródłami, bo jesteście obadwa fanatyczni jej wielbiciele.

— Pamiętaj Jerzy, że lat blizko dziesięć jej nie widziałem. Pan Jan tylko patrzy na codzienne jej życie, blizko niej mieszkając.

— Czyś znał dobrze nieboszczyka jej męża?

— Więc ty nie wiesz szczegółów naszej pierwszej znajomości — odparł Stefan.

— Prawie, że nie.

— Więc ci opowiem. W roku 1861, będąc podczas wakacyi u państwa K. jako korepetytor, poznałem u nich pana N., który dla słabego zdrowia swej żony, potrzebującej świeżego wiejskiego powietrza, przyjechał tam także. Pierwsza gorąca moja sympatya w życiu była dla pana N. Znałeś go trochę osobiście a słyszałeś o nim resztę, nie ma więc mówić o nim potrzeby. Gdym odjeżdżał do szkół, oni zostali jeszcze, a żegnającego ich, zaprosili oboje uprzejmie i serdecznie, żeby dom ich odwiedzać i po trudach całotygodniowych, niedziele w kółku ich spędzać. Ucałowałem im za to ręce gorąco, byłem sierotą, wiesz. Gdy więc jesienią przyjechali, pierwszej zaraz niedzieli tam pobiegłem: z bijącem sercem wchodziłem po marmurowych, dywanem wyłożonych wschodach, myśląc, hardy a biedny, czy powrócę tu jeszcze, serce jednak ciągnęło i niezawiodło.

Niedziele w ich domu, są to jedyne gwiazdy mej młodości. Słońcem wśród całej tej rodziny był zawsze pan N., ona dobra i wykształcona, lecz słaba ciągle i bardzo małomówna, dzieci nie mieli, reszta dalszej rodziny dobrzy, intelligentni i serdeczni ludzie, lecz nikt z nich z p. N. nie wytrzymywał porównania. Takich przygarniętych do ich ogniska dalekich ubogich krewnych i sierot jak ja, było kilkoro, a dwoje pod ich wyłączną opieką. Witold, znasz go dobrze, syn po oficyaliście z rodziny pani N. i dziewczynka sierota, córka po urzędniku, a przyjacielu i opiekunie niegdyś pana N. Wiesz i to, że owa dziewczynka to dzisiejsza pani Marya, była na pensyi i tylko niedzielę spędzała u swoich opiekunów. Podziwiałem ją już i wtedy, brała żywy udział w naszych wszystkich poważnych dysputach, szalonych marzeniach i nadziejach, rzucała czasem słówko gorące, czasem zażartowała z którego z nas a w każdej chwili gotowa na najlżejsze skinienie swej chorej opiekunki, była już przy niej łagodna, poważna i cichutka.

Nie obiecywała wtedy mizerna, wysoka i chuda takiej doskonałej piękności greckiej — i uśmiechnął się opowiadający, lecz zapowiadała ten umysł poważny i głęboki i to szlachetne serce.

Wszyscyśmy po troszeczku wzdychali do niej, a podobno choć najgoręcej, lecz najciszej Witold, jej towarzysz codzienny. Ale panna Marya nic nie wiedziała o tem, była już prawie dorosłą, choć równą nam może wiekiem, lecz wiesz jak smutnie w oczach panien takich wyglądają „sztubacy”.

Ale szczęśliwe niedziele zakończyć się miały. Rok następny i kilka lat jeszcze przyniosły wielkie zmiany.

Pani N. umarła, on wyniósł się na wieś, panna Marya została nauczycielką, a my, rozpro-

szeni po świecie, na krańcach Europy niejeden, nie zejdziemy się już pewno nigdy razem.

Ja lat kilka w Galicyi, często o chlebie i wodzie, dobijałem się do portu, którym miał być dla mnie patent z techniki. Jako stypendysta przyjechałem do Wiednia i wyobraź sobie radość moją, gdy raz chmurny czegoś, przy obiedzie w naszej polskiej knajpie u Mięczyńskiego na Wideniu rozmyślam o przyszłości, aż tu dwoje ramion obejmuje mnie jak kleszczami, gorący pocałunek zasłania oczy, a serdeczny głos jakiś woła mi nad uchem: Stefanie, Stefku, zgaduj, zgaduj.

— Witold! krzyknąłem i splotły się nasze ramiona i od lat wielu, wielu, pierwsza jasna chwila ozłociła mi, gorzką często, samotną dolę moją.

Dowiedziałem się od Witolda wielu szczegółów o druhach naszych, mówił mi i o tobie, ja najprzód o p. N. pytałem. Opowiadał mi, że opiekun jego ciężko zachorował, że posłali po pannę Maryę, że kilka miesięcy jej troskliwej opieki usunęło chorobę, ale że zdrowie zupełne, mówili doktorzy i chirurdzy nie powróci już nigdy. Że gdy wychowanica odjeżdżać już do swych obowiązków chciała, on nazywając wtedy ją opiekunką swoją, prosił, by mu na kilka już może tylko miesięcy należącego się jeszcze życia, darowała sierocego swojego życia cząstkę i jeszcze żoną jego i spadkobierczynią została, a potem zamknęła mu oczy.

Marya przystała, panu N. zdrowie powracało, do Włoch jadąc widzieli się z Witoldem i skłonili go prośbą do przyjęcia pewnego funduszu, z którym spokojnie przeszedł kursa i jak ja zdobył patent. Byliśmy przez czas pewien towarzyszami i wiernymi przyjaciołmi, odbierał od opiekuna listy od czasu do czasu a z nich i z opowiadań Witolda, wiem, że w domu państwa N. spokój i szczęście gościły. Wyzdrowiał mimo późnego wieku prawie zupełnie i może pierwszy raz w życiu był tak szczęśliwy, choć o lat blizko trzydzieści starszy od swej żony, a ona, kochana i ubóstwiana, wierzę że także szczęśliwą była, bo posiadanie miłości i szacunku takiego doskonałego człowieka jakim był pan N., będzie zawsze drogim skarbem dla każdej naszej, szlachetnej kobiety. Po dwóch czy trzech latach umarł nagle pan N.

— Pan Jan — odezwał się zamyślony Jerzy— prawie to samo mi opowiadał, robiąc zawsze nacisk szczególny jaką była wzorową żoną piękna i młoda pani Marya, jakim szacunkiem otaczała swego starego męża. Lecz wobec tego wszystkiego twoja poetyczna i ślicznie wypowiedziana legenda o Birucie, upada.

— Jerzy, mój Jerzy czy udajesz kamedułę? Wszak ja więcej z teoryi, a ty z szerokiej jak sam mówisz praktyki, znasz świat i ludzi, otóż znawca taki wie doskonale, że Biruta wajdelotka strzegła dozorowi jej powierzonych płomieni wiernie i czciła krywekrywejtę, najwyższego u ołtarza kapłana, ale, gdy zagasł dla niej ogień świętego ołtarza a jej pierś młoda ogni pełna była, z płomieniem drugim, obejmującym ją gorąco, namiętnie, ognie swej piersi złączyła. I świętym musiał być Znicz domowy Kiejstuta, bo Biruta, toż matka bohatera Witolda wielkiego.

— Więc wieszczbiarzu Stefanie, wajdelotka czeka tylko na Kiejstuta swego.

— Tak mi się zdaje.

— Któremu tym razem dostanie się jeszcze rola Pigmaliona.

— Nie zupełnie, bo tamten miał do czynienia z kamieniem.

— A Kiejstut?

— W żywą i czującą pierś ludzką, najjaśniejszym tylko tchnie płomieniem.

— A wiesz co mi na myśl w tej chwili przychodzi Stefanie. Podobno pani Marya czeka tu do przyjazdu Witolda z Szwajcaryi, czy tak?

— Prawda.

— Otóż, może genealogia litewskich bohaterów w zastosowaniu twojem nie wytrzyma ścisłości historycznej i trochę się pokrzyżuje i czy nie nastąpi katastrofa, że wajdelotka Marya-Biruta, a więc matka Witolda Wielkiego, porwaną będzie przez niewielkiego Witolda-Kiejstuta.

— Bardzo być może — odparł Stefan, a niemile dotknięty drwiącym i szyderczym tonem Jerzego, dodał — czemuż i ty wieszczbiarzem być nie masz.

— A czy poprzedzające wyrocznię oznaki skłaniają się ku temu — ciągnął Jerzy uśmiechając się ironicznie.

— Ja nic o tem nie wiem, lecz ty, jeśliś ciekaw — dodał Stefan z równąż ironią — to idź gdzie między drzewa, rozpal tam ognie i nasyp kadzidła, słuchaj liści szumu, wiatrów głosu, badaj wonne dymy.

— Aj! co zachodu i to wszystko, żeby się dowiedzieć...

— Że do dzisiaj — przerwał Stefan żywo i z ogniem, oprócz wspólnego szacunku i wspólnych wspomnień z młodości a żywej wdzięczności Witolda, inne płomienie w piersi im dotąd nie płoną.

Lecz dziwnie mnie przypuszczenie twoje zajęło, gdyby też — mówił, zamyślając się Stefan— wróżba twoja prawdą się stała.

— Widzę, byłbyś z tego rad bardzo — wyrzucił gwałtownie Jerzy i zarumienił się mocno.

Stefan nie spostrzegł rumieńca a zajęty tylko co wypowiedzianem przez przyjaciela przypuszczeniem, mówił jakby do siebie.

— Nie znam szlachetniejszego od Witolda człowieka, jak również lepszej i zacniejszej od pani Maryi kobiety, co by to z nich była za cudownie dobrana para ludzi.

— Czy Witold także „idealny" i równie jak pani Marya piękny, czy w piersi „palą mu się także płomienie"? Nie marszcz że się tak Stefanie, lat tyle go nie widziałem, nie dobrze więc pamiętam, a jestem ciekawy.

— Ja ci też odpowiem Jerzy — a piękne szlachetnego młodzieńca oblicze zapałem zajaśniało.

— W piersi Witolda goreje jasny płomień miłości dla nauki, pracy i ludzkości, urodą, nie zachwyci pewno żadnej liliowej piękności z waszych salonów, w dodatku jest jeszcze bardzo skromny przy swej ogromnej wiedzy i tylko w kółku najbliższych wymowny i do zapału gorący, wśród obcych milczący i zimny, więc żadnych szans zewnętrznych nie posiada by robić furorę. Ma myśl jedną jako zadanie w życiu, być użytecznym ludzkości, a szczególniej wydziedziczonym w tej ludzkości.

— Nastroiłeś się bardzo tragicznie Stefanie.

— Prawda, do salonowej komedyi wrócić powinienem.

— Albo — lekko brwi marszcząc, dodał urażony widocznie Jerzy — do swoich poetycznych legend pogańskich.

— O, co to, to nie, najlepiej podobno zrobię, gdy na gwar pracy i życia pojadę popatrzeć — a oglądając się za kapeluszem dodał — czy ty już nie będziesz dzisiaj na wystawie?

— Nie wiem, może, zawsze do widzenia, rendez-vous; tam gdzie codzień, o siódmej, przy palmie Brazylijskiej.

Dwaj przyjaciele podali sobie dłonie, uścisnęli serdecznie, lecz smutnie jakoś oba, z wymówką, spojrzeli sobie w oczy.

III.

Śliczny Volksgarten przy Burgryngu płonął cały snopami gazowych płomieni. Biały posąg Tezeusza z Centaurem pod stopami, wspaniały portyk z marmurową kolumnadą, kłąby przepysznych roślin wśród szmaragdowej zieleni trawników i w milionowych kroplach wodotrysków odbijające się ognie tęczowemi barwami, tworzyły czarodziejski, uroczy widok.

A przed portykiem Strauss ze swoją orkiestrą, porywał, rozmarzał, upajał.

Czwartek uprzywilejowany dzień koncertowy w Volksgartenie, wykwintnie strojna publiczność, urozmaicona jeszcze z okoliczności wystawy cudzoziemskiemi ze wschodu i południa gośćmi, o wyrazistych twarzach i malowniczych strojach, snuła się wśród alei ogrodu.

Jedni zatrzymywali się przed pyszną grupą Canowy, której marmur śnieżysty jakby drgał życiem w walce bohatera z potworem. Drudzy podziwiali szerokolistne podzwrotnikowe rośliny i z artyzmem w pyszne kwiaty przystrojone kłąby, inni znów zebrani w kółku przy stolikach, giestykulując wyraziście, z tem ożywieniem i swobodą właściwą Wiedeńczykom, gwarzyli o ostatnich dnia wypadkach, a inni jeszcze najliczniejsi, stali grupami wokoło orkiestry, wpatrzeni i wsłuchani.

Strauss grał walce swoje, te znane, sławne walce wiedeńskie, rozkoszne, upajające, namiętne, czasem ciche jak szept ostatni, jak westchnienie, to znów kipiące życiem, porywające siłą, ogniste, szalone jak miłość, jak burza.

Kto nie słyszał tych walców wykonywanych przez Wiedeńczyków i pod samego Straussa batutą, ten nie uwierzy, że na ich odgłos, mimo woli, cichną rozmowy, drgają ramiona, płoną oczy a bledną twarze i piersiom brak oddechu.

Takiego właśnie walca grała orkiestra pod dyrekcyą młodego Straussa. Między najbliższymi słuchaczami po prawej stronie portyku, spostrzegamy znajomych naszych rodaków. Pani Marya oparta na ramieniu starego swego przyjaciela a przy nich Stefan obok córki pana Jana, wesołej, rumianej dzieweczki, której nóżki ledwie w miejscu ustać mogą.

Nie daleko od nich, wprost muzyki, przy krzaku olbrzymiej agawy, prawie liśćmi jej zakryty stoi Jerzy, a o ramię jego oparty poufale jakiś siwy, bardzo dystyngowany jegomość, który coś w tej chwili mówi do Jerzego półgłosem i ukazuje mu przesuwającą się właśnie obok nich rudowłosą piękność w lazurowych materyach i brukselskich koronkach, bożyszcze owoczesne modnego świata.

(D. n.)

NOWE WYDAWNICTWA.

Złota Przędza poetów i prozaików polskich. Warszawa Tom I zeszyt 3, 4 i 5.

Zeszyt trzeci tego zacnego wydawnictwa, zawiera dalszy ciąg wyjątków najcelniejszych utworów A. Mickiewicza, koncert i polonez z „Pana Tadeusza”, ustęp z części II i IV „Dziadów”, który poprzedza krótkie streszczenie a raczej objaśnienie tego poematu. Dalej idzie bibliografia pism Mickiewicza podzielona na dwie części, mianowicie: I Wydania dzieł Mickiewicza, i II Prace ogłoszone o Mickiewiczu, jego życiu i dziełach.

Dalej pomieszczony został dosyć obszerny i wyczerpująco opracowany życiorys Juliusza Słowackiego, po którym znajdujemy urywki z jego prac poetyckich, a mianowicie: Utwory liryczne, jak Sonety, wyjątki z poematu: Szanfary, Godzina Myśli, Ze wspomnień podróży po Szwajcaryi, Rozłączenie, Przekleństwo, Ostatnie wspomnienie do Laury, Rzym, Sumienie, Hymn o zachodzie słońca na morzu, List do Aleksandra H., Odwiedziny piramid, Do Anieli M., Do Zygmunta, Na sprowadzenie zwłok Napolena do Francyi.

W zeszycie czwartym i piątym znajdujemy dalszy ciąg utworów Słowackiego jak: W Pamiętniku Zofii, Niektóre utwory z epoki mistycyzmu, Z poematu, Mnich, Urywki z Jana Bieleckiego, W Szwajcaryi, Ojciec zadżumionych, Wyjątki z króla duchów, zakończone streszczeniem poematu i Wyjątki z Beniowskiego.

Z 13 arkuszem tego wydawnictwa, redakcyą objęli pp. Stanisław Krzemiński i Chmielowski. Działalność też tych znanych i wysoce cenionych literatów, zaraz na wstępie się uwidoczniła nietylko doborem ustępów z dzieł poetów naszych, lecz i opracowaniem niezbędnych komentarzy.

„Złota Przędza” obejmować będzie wszystkie okresy literatury naszej, zakończone ogólnemi poglądami na takowąż i tym sposobem stanowić będzie wyczerpujący w najcelniejszych wyjątkach kurs literatury ojczystej, z którym w ręce śmiało stanąć możemy przeciw niechętnym, usiłującym odmówić nam wszystkiego: cywilizacyi, oświaty, talentów i wyższych polotów ducha.

Cena niewielka, za tom zawierający 60 arkuszy druku, wynosi rs. 4.

Paprocki Teodor. Wiadomości Bibliograficzne Warszawskie, miesięcznik dla czytających i kupujących książki i pisma. Tom I-szy. Warszawa 1882 r.

Od dawna już, a mianowicie od czasu jak nasza literatura z dniem każdym wzrastać poczęła rozwielmożniając się nietylko w samoistnych wydawnictwach lecz i w dziennikarstwie, pomimo nieocenionej, lecz nie dla każdego przystępnej Bibliografii polskiej K. Estreicher'a, dawała się uczuwać potrzeba pisma, mającego jedynie na celu Bibliografię bieżącą nietylko z pod prasy wychodzących dzieł najrozmaitszej treści lecz i Bibliografii Czasopism. Bibliografię podobną od dawna już posiadają Czesi i ich „Urbankovy Wiestnik” jest nieocenioną skarbnicą bibliograficzną dającą jak najdokładniejszy obraz ich narodowej literatury. W Krakowie wychodzący „Przegląd Bibliograficzny” Wisłockiego, nie obejmując Bibliografii Czasopism polskich i nieodpowiadając zupełnie tutejszym krajowym potrzebom, sprawił, że kierownik młodej jeszcze firmy księgarskiej pan Teodor Paprocki, powziął myśl szczęśliwą „Przegląd Bibliograficzny” Wisłockiego, uzupełnić wydawnictwem „Wiadomości Bibliograficznych Warszawskich”. Szczęśliwą tę myśl pomimo niezmiernych trudności jakie się wydawcy i redaktorowi nastręczyły, p. Paprocki urzeczywistnił w r. 1882 oznaczywszy niesłychanie nizką prenumeracyjną cenę, bo tylko 2 rs. na rok.

Dziś mając przed sobą pierwszy rocznik, czujemy się w obowiązku słów parę o nim powiedzieć.

„Wiadomości Bibliograficzne” wychodzące każdego 15-go miesiąca, obejmują oprócz Bibliografii książek wydanych w obrębie Królestwa Polskiego w ciągu poprzedniego miesiąca, „Nowe książki” wydane za granicą a nadesłane do Warszawy, również w ciągu ubiegłego miesiąca, różne treściwe artykuły odnoszące się do bibliografii wydawnictw dzieł rzadkich, Nekrologię, Krótkie oceny dzieł nadesłanych do redakcyi, konkursa literackie i bibliografię czasopism krajowych.

Oto treść główna, składająca całość „Wiadomości Bibliograficznych”, w których najcenniejsze miejsce zajmuje Bibliografia Czasopism opracowana z prawdziwie benedyktyńską dokładnością.

Jakaż to nieprzebrana skarbnica dla wszystkich interesujących się naszą literaturą, a szczególnie dla oddających się badaniom specyalnych gałęzi różnych nauk, gdy np. rolnik, artysta, historyk, lekarz i t. d., potrzebuje odszukać i odczytać jakąś pracę odnośną do jego fachu a pomieszczoną w tem lub owem piśmie i pragnąc dojść do celu traci drogie chwile na poszukiwaniach zawsze prawie bezowocnych!? Wobec Bibliografii czasopism wprowadzonej przez p. T. Paprockiego, tej ewentualności już nie ma, bo tu oprócz drobnych, codziennych wiadomości, oprócz korespondencyi, artykułów wstępnych i politycznych, wszystko jest pod właściwą rubryką zapisane, aby wiedziano co w danym przeciągu czasu wyszło. Jest to zatem niezbędny prawie podręcznik dla czytających i kupujących książki i pisma.

Wł. Kor. Zieliński.

Z KRAJU I Z ZAGRANICY.

*** Polskie kollegium w Rzymie otrzymało nowy kościół wskrzeszony z dawnego kościoła Maronitów, który Francuzi przed kilkudziesięciu laty zamienili na budowlę świecką. Konsekracyi kościoła dokonał kardynał Monaco La Valetta, pod wezwaniem Św. Jana Kantego, patrona uczącej się młodzieży. Znany malarz religijny, Franciszek Krudowski, przyrzekł odmalować dla tego kościoła wielki obraz przedstawiający św. Jana Kantego; tymczasowo umieszczono w ołtarzu mały obraz tegoż św. pendzla Czechowicza. Twórca prześlicznego Chrystusa, Anioła Zmartwychwstania znajdujących się w kościele św. Józefa Oblubieńca (Karmelitów) i innych dzieł znakomitych, snycerz Oskar Sosnowski, wykończa marmurową statuę Matki Bożej, przeznaczoną do tegoż kościoła.

*** Zmarły w przeszłym miesiącu publicysta czeski, Józef Barak, cały zbiór swoich rękopismów, obrazów i pamiątek, przekazał na rzecz funduszu pomnika Mickiewicza. Zbiory te sprzedane zostaną przez licytacyę. Cenny to dowód życzliwości i współczucia jakie szlachetny Czech żywił dla nas przez całe życie.

*** Gazeta, „Stella d'Italia” podaje opis uroczystego posiedzenia Akademii Mickiewicza w Bolonii.

„W wielkiej sali w której zgromadził się kwiat towarzystwa bolońskiego, począwszy od syndyka Tacconi'ego, jenerała Alcherburga, najsławniejszych profesorów uniwersytetu i natłoku studentów, do najznakomitszych obywateli miasta i najpiękniejszych dam, profesor Dominik Santagata wypowiedział piękną porywającą mowę. Przemówienie to jego pełne uczucia i zapału, wstrząsnęło nawet najzimniejsze i obojętne serca, i wyrywając je z lodowatej atmosfery sceptycyzmu, przeniosło w świat ideału. Po profesorze Santagata, wystąpił margrabia Ruscani z improwizowaną pogadanką o Polsce i Galicyi, poczem odczytano nadesłane telegramy i listy. O godzinie 6-ej danym był obiad, który połączył w serdecznem a wesołem kole członków Akademii, jej przyjaciół i gości.

*** W początkach tego miesiąca odbył się w Wiedniu popis szczególniejszego rodzaju, o którym długo i szeroko pisały dzienniki, jedne *za*, drugie *przeciw* budząc przez to ciekawość publiczności — skutkiem czego w oznaczony wieczór ogromna sala Towarzystwa muzycznego zapełniła się po brzegi. Na znak reżysera, słynnego w Wiedniu nauczyciela szermierki, p. Hartla, wstąpiło na estradę dwanaście młodych pań, odpowiednio ubranych. Sześć miały kostiumy błękitne, sześć karmazynowe; każda miała w ręku elegancki rapir, na twarzy drucianą maskę, na piersiach plastron z zamszowej skóry. Gdy już uszykowały się w dwóch rzędach naprzeciw siebie, zwarły się z głośnym chrzęstem rapiry i wszczęła się gorąca walka, prowadzona ściśle według reguły szermierskiej. W pierwszej chwili, piękne zapaśnice widać onieśmielone niezliczoną liczbą widzów, nieco wahająco władały błyszczącą bronią, lecz niebawem otrząsnąwszy się z niej, okazały tyle teoretycznej wiedzy, śmiałości, zręczności i siły fizycznej, że zachwyciły wszystkich. Kulminacyjnym jednak punktem wieczoru był nadprogramowy numer, pojedynek 4 par o nagrodę którą stanowiły trzy kosztowne bransolety zakupione ze składek. Po długich i wytrwałych zapasach zwyciężyły dwie panie niebieskie i jedna karmazynowa, którym wśród ogłuszających oklasków Hartl wręczył nagrody. Tak więc występ pań gladiatorek zakończył się tryumfem, w następstwie jego panie wiedeńskie zbierają się tłumnie u Hartla iż nauka szermierki weszła w modę. Ciekawi jesteśmy jakby się też panie gladiatorki wywiązały, gdyby im przyszło zamiast rapiru wziąć do rąk igłę lub nożyczki, ukroić i uszyć choćby dziecinną sukienkę lub koszulkę?

*** Na dorocznem publicznem posiedzeniu Akademii w Paryżu, p. Kamil Rousse ogłosił w jej imieniu sprawozdanie z nagród Monthyon'a, rozdanych za cnoty wyjątkowe.

Najpierwszą otrzymał marynarz, Piotr Lavie, poświęcający życie dla ratowania tonących w morzu, i wydarł jego otchłaniom ośmdziesiąt osób. Z żył się z Oceanem i ukochał go ale nie ufał mu ślepo, czuwał nieustannie i ilekroć fale jego pochwyciły jaką ofiarę, Piotr Lavie rzucał się

w ich głębie i ratował zagrożonego śmiercią. Była to jakby nieustanna walka między nim a strasznym, potężnym żywiołem; przez ciągłe obcowanie z przyrodą i rozhukanemi falami, wyrobił w sobie odwagę posuniętą do zuchwalstwa, a proste ale najszlachetniejsze serce kazało mu poświęcać się dla innych, z zaparciem się siebie.

Drugim bohaterem cnoty, wynagrodzonym przez Akademię, jest góral pirenejski Józef Nogue, który podczas śnieżnej zamieci uratował życie sześciu członkom missyi meteorologicznej, razem ze swym przywódźcą, jenerałem Nausonty, zimującej na strasznym Pic du Midi. Zacny ten góral dał dowód szlachetnego poświęcenia i zadziwiającej odwagi, wyszukując wśród zawalonych lodem i śniegiem przepaści zatraconych wędrowców, ogrzewając znalezionych tchnieniem własnych piersi, opatrując ranionych i przenosząc wszystkich z kolei w bezpieczne schronienie.

Nadzwyczajne rozrzewnienie wywołał p. Rouse w słuchaczach, opisem cnót i poświęcenia prawdziwie biblijnego kapłana, proboszcza małej parafii, ks. Marschal, całkiem oddanego ratowaniu osób upośledzonych na umyśle. Prócz tego, gdy dowie się o jakimś kalece bez sposobu do życia, udaje się doń natychmiast, bierze pod swą opiekę nieszczęśliwą istotę, zbiera dla niej składki pielęgnuje z macierzyńską troskliwością, staraniem swojem pomieszcza w jakim dobroczynnym zakładzie i dawszy mu schronienie wyszukuje innych.

Z kolei wymienił p. Rousse p. Alizon, idealną nauczycielkę z bezgranicznem poświęceniem wychowującą całe pokolenia; pannę Pitre, która żebrze, żeby módz odziewać i karmić biedną opuszczoną dziatwę i dwie służące aptekarza pielęgnujące chorych z narażeniem własnego życia — oto co można jeszcze napotkać w głębokich pokładach francuzkiego społeczeństwa.

*** Porucznik marynarki Massonet, odkrył niedawno pod Bograra (Tunis) w pobliżu morza, dwa wielkie miasta rzymskie. Znaleziono tam starożytny gród Giethis, którego ruiny rozkładają się na wielkiej przestrzeni. Zdumiewającą jest wielka ilość brył marmurowych, użytych do budowy. Dużo jest napisów łacińskich, ale po części nie dających się już odczytać—rzeźb i ornamentów nie wiele.

Z Bograry, Massonet udał się do Tabelli, na wyspie Dżerbi, tam znalazł zwaliska miasta, widocznie niegdyś stolicy wyspy. Nigdzie dziś może nie ma takiego nagromadzenia bogactwa marmurów, artystycznie obrobionych. Nad samem morzem odkopano ruiny świątyni całkowicie zbudowanej z marmuru, w stylu bardzo wytwornym. Wschodnie wejście do świątyni tworzą olbrzymie kolumny z czerwonego i zielonego marmuru, z pięknemi koryncklemi kapitelami. Na posadzce znaleziono znaczną liczbę posągów z granitu bez głów, które zapewne pozbawione ich zostały za najazdu Mahometan.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Pani Zofii C. w Ł. W obrazie jesieni prawdy jest wiele, ale brak tego co wypływa z prawdziwego natchnienia poetycznego. Bez niego można rymować dość składnie, ale to jeszcze poezyi nie stanowi.

Autorowi wierszyków p. t. Gniazdo rodzinne i Czy zapomnę. Forma dość staranna, chociaż trudności ułożenia widoczne. Brak więc w nich tego polotu, z duszy płynącego co każdemu utworowi poetycznemu wdzięk właściwy nadaje.

Odpowiedzi z Pracowni Ubiorów Damskich TYGODNIKA.

Pani H. S. z Biskupic. Ciepłe palto na wacie pokryte czarnym materyałem soleile, przeważnie teraz używanym, a podbite flanelą i obłożone czarnem futrem, kosztować może od 45 rs., podbite zaś popielicami od 75 rs. nie licząc przesyłki. Zrobione będzie w tydzień po odebraniu pieniędzy.

Zawiadomienia.

Na Gwiazdkę i noworoczne podarunki dla uczącej się dziatwy, polecamy WIZERUNKI KRÓLÓW POLSKICH podług rysunków Tytusa Maleszewskiego, z krótkim tekstem w ozdobnej oprawie. Cena egzemplarza rs. 2 kop. 50. Za przysłaniem kwoty tej do Redakcyi Tygodnika Mód i Powieści i Przyjaciela Dzieci ładną tę książeczkę wysyłamy bez żadnej dopłaty za pocztę i opakowanie.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami oraz Prospekt „Biesiady Literackiej".

Дозволено Цензурою, Варшава 8 Декабря 1883 г. Redaktor **J. K. Gregorowicz.** Wydawca **E. Skiwski.** Druk **E. Skiwskiego**, Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek.

Dodatek z powieściami do Tygodnika Mód Nr. 51, r. 1883.

KAIN.

Przez

Henryka Rivière.

Przekład z francuzkiego.

CZĘŚĆ DRUGA.

(Dalszy ciąg.)

List był surowy, prawie groźny. Starzec pisał, że nie może zrozumieć tak upartego milczenia Jerzego, że śmierci Raula musiały towarzyszyć jakieś tajemnicze okoliczności, skoro najlepszy jego przyciel, który zapewnie był jej świadkiem, nie śmiał ich opisać zrozpaczonemu ojcu. Wreszczcie kończył oświadczeniem, że będzie czekał jeszcze ośm dni, a jeżli w tym przeciągu czasu nie odbierze odpowiedzi, sam przyjedzie po nią do Paryża.

— Ale mnie już nie zastanie! zawołał Jerzy.

Jeżli dwa lata temu nie miał odwagi pisać do ojca Raula, to tem bardziej teraz, w obec podejrzeń przebijających w tym liście, obawiał się spotkać z nim oko w oko. Bladł na samą myśl o tem strasznem opowiadaniu. W końcu pchany jakąś zabobonną trwogą, i wyobrażając sobie że tylko uciekając zdoła ocalić to upajające szczczęście jakiem cieszył się dopiero od kilku dni, pobiegł do ministra i prosił o wydanie mu rozkazu udania się na wyznaczone miejsce. Minister miał już rozkaz gotowy i wręczył go Jerzemu, pochwalając taką gorliwość w służbie. Przed końcem tygodnia wypłynął już z Rochefortu na *Belonie*.

Przez cały ten dzień stał na pokładzie statku, patrząc to na jego żagle, to na brzegi Francyi, nie znikające mu tak prędko z oczu jakby sobie tego życzył. Zdawał się obawiać aby nie zobaczył tam nagle sygnału wzywającego do powrotu.

— Widzę że jesteś bardze dumnym z powierzonego ci zadania, tak ci pilno opuścić Francyę jakby cię ścigano, rzekła z uśmiechem żona, przypatrująca mu się już od pewnego czasu.

Jerzy odpowiedział tylko czemś podobnem do uśmiechu. Zdradził się po raz pierwszy; żona prawie odgadła jego myśli. Wszakże wyrzuty sumienia ścigały go ciągle już od pięciu lat.

Dopiero przybywszy do Trankwebaru, poznał jak trudnego podjął się zadania. Trzeba było wszystko stworzyć, arsenał, warsztaty, fortyfikacye, nawet samo miasto. Nie cofnął się jednak — w przeciągu czterech lat dokonał takich samych cudów, jak La Bourdonnais na wyspie Bourbon. Aby mu nie przeszkadzano w prowadzeniu zamierzonych robót, obsadził armatami wązką szyję zamykającą przystań, uniemożebniając tym sposobem wszelki atak ze strony Anglików. Na małych statkach którym łatwiej było unikać spotkania z krążącemi w tej części morza nieprzyjacielskiemi krejserami, sprowadzał częściowo rzemieślników wszystkich profesyj, oraz podoficerów instruktorów wszelkich broni; rozpoczął budowę statków różnej wielkości, a nawet fregaty tejże wielkości co *Belona*, uorganizował i wyćwiczył armię złożoną z krajowców. Niekiedy wypływał na swej fregacie, dla rozrywki, jak mówił, dzięki poczynionym przez niego ulepszeniom, sunęła tak zręcznie i szybko po morzu, że łatwo mu było omijać nieprzyjacielskie statki. Nie chcąc rozpoczynać ważniejszych kroków, dopóki nie będzie dostatecznie przygotowanym, poprzestawał na schwytaniu od czasu do czasu jakiegoś kupieckiego statku. Zbudował sobie z drzewa dom bardzo piękny, prawie pałac, w którym połączył wszystkie dziwy zbytku europejskiego i azyatyckiego, i tam odpoczywał wieczorem po całodziennej gorliwej pracy. Przez otwarte okna widział z jednej strony przystań Trankwebaru, już pokrytą statkami, arsenały w których odzywały się jeszcze ostatnie uderzenia młotów robotników, i wojska wracające przy odgłosie pikulinek i bębnów. Z drugiej strony oko jego zatrzymywało się na olbrzymiej roślinności indyjskiej na pół ozłoconej promieniami zachodzącego słońca, na pół już niknącej w cieniu, wydającej woń silną i pełną tajemniczego szmeru. O kilka kroków dalej, żona kołysała się w hamaku, w lekkiej białej sukni, trzyletni, jasnowłosy i rumiany synek jego, bawił się taczając się na matach. Jerzy spoglądał to na żonę to na syna, podziwiając imponującą piękność pierwszej i wdzięczne ruchy dziecka. Siedział tak długo milczący, paląc wolno fajkę, potem przywoływał nagle synka, sadzał na kolanach, słuchał z uśmiechem jego szczebiotania, całował i pieścił. Czasem znów odgarniał niespokojnie jego włoski i przyglądał mu się uważnie, w takim razie twarz jego zasępiała się, całował go w czoło i stawiał ostrożnie na ziemi.

Jerzy czynił wszystko co było w jego mocy aby pozyskać szczęście — daremnie. Żona była jego towarzyszką, ale nie była ani jego powiernicą ani jego przyjaciółką. Równie dumna i pragnąca wyniesienia jak on, zaślubiła go dla sławy otaczającej jego nazwisko, dla jego waleczności, słowem dla jego stanowiska. Jerzy widział to dobrze, i miotany niekiedy najsroższym niepokojem lub zostając pod wpływem niewysłowionej trwogi, musiał w obec niej okazywać się spokojnym i zmuszać do uśmiechu. Był pewnym że gdyby uległ potrzebie odkrycia prawdziwego stanu swej duszy, jakiej doznają niekiedy najenergiczniejsi nawet ludzie, i pod której wpływem chronią się jak lękliwe dzieci w objęcia ukochanej kobiety, obudziłby w swej żonie tylko pogardliwe zadziwienie. Tracąc w jej oczach otaczający go urok, straciłby z nim razem i przywiązanie jakie ta świetna i dumna kobieta mogła czuć dla męża. Poddał się swemu losowi, ale też musiał walczyć jak dawniej z dręczącemi go myślami, z których szczera miłość żony byłaby może go uleczyła. Uciszały się one niekiedy nawet na czas dłuższy, ale przy najmniejszej okoliczności rozbudzały się równie jak dawniej gorzkie i nieubłagane, zadając mu jakieś nowe, nieznane dotąd katusze. Jeżli naprzykład niekiedy przyglądał się tak długo i uważnie synkowi, to dlatego że zdawało mu się iż dostrzega w nim jakieś podobieństwo do Raula. Miał takież same miękkie i wijące się włosy, takież same smętne, czarne oczy, nawet trochę podobny dźwięk głosu. Jerzy przekonywał sam siebie że to było tylko urojenie, ale to urojenie poparte wspomnieniami z młodzieńczych lat Raula, przybierało w jego umyśle znaczenie rzeczywistości. Tak więc nie znajdował pociechy nawet w miłości dla syna; prześladujące go ciągle widmo Raula, to uśmiechnięte, to groźne, stawało między nim i dzieckiem.

Od pewnego także czasu, w stanie jego zdrowia zaszła niekorzystna zmiana; doznawał nagłych ataków osłabienia i gwałtownego bólu głowy, a ten stan chorobliwy oddziaływał ujemnie i na hart jego duszy; bez powodu rozczulał się lub unosił gniewem. W przerwach między atakami odzyskiwał swe zwykłe usposobienie; był delikatnym i czułym przyjacielem dla żony, dobrym i sprawiedliwym zwierzchnikiem dla swych żołnierzy i marynarzy. Jakieś gwałtowne wstrząśnienie byłoby teraz dla niego najzbawienniejszem lekarstwem, ale, na nieszczęście, był jeszcze na czas jakiś skazanym na bezczynność. Uzbrojenie zbudowanej przez niego fregaty, wymagało dwóch do trzech miesięcy czasu, i tyleż mniej więcej musiał czekać na przybycie do Trankwebaru fregaty o sześćdziesięciu działach, którą minister przyrzekł mu przysłać; a nie można było jeszcze rachować na to z pewnością, że nie wpadnie między nieprzyjacielskie statki snujące się ciągle po tej części morza. Miał zamiar, jeżli fregata wpłynie szczęśliwie do przystani, rozpocząć jednocześnie działanie na morzu i na lądzie. Posiadałby już dostateczną eskadrę, a wojsko jego połączone z wojskiem Tippoo-Saiba, mogłoby uderzyć na posiadłości angielskie.

Nadeszła nakoniec tak upragniona chwila. Piętnastego sierpnia straż nadmorska doniosła Jerzemu o zbliżaniu się fregaty, a w południe wpłynęła już do przystani. Był to właśnie dzień imienin cesarza, i na wszystkich statkach powiewały flagi, a w fortach armaty zagrzmiały sto jeden razy; wszędzie panował niezwykły ruch i wesołość. Nabożeństwo, przyjęcia urzędowe i przyjęcie komendanta fregaty, zajęły Jerzemu tyle czasu że zaledwie około drugiej mógł znaleźć chwilę samotności. Dręczyły go ponure myśli i smutne przeczucia, przypominał sobie że w najświetniejszych chwilach jego życia, zawsze jakiś nieprzewidziany wypadek, przywodził mu na pamięć jakim sposobem otworzył sobie drogę do znaczenia i sławy. Wyszedłszy do ogrodu, usiadł w ocienionej altance i zaczął przeglądać depesze przysłane przez ministra: „Kapitanie, pisał Decrés, minęły już najcięższe dla ciebie chwile, przygotowania muszą już być ukończone, i będziesz mógł rozpocząć działania. Czekam tylko na twe pierwsze zwycięztwo, aby cie mianować admirałem." Czoło Jerzego rozjaśniło się nagle, uderzył nogą w ziemię, jakby obejmował przyszłość w swe posiadanie. Do urzędowych depesz był jeszcze przyłączony list pod adresem Jerzego, minister mówił o nim w sposób pełen najszczerszej życzliwości, o tak długiem jego wygnaniu, które jednak skończy się zapewnie wkrótce, gdyż i wojna z Anglią nie może trwać wiecznie, a w takim razie Jerzy wróci do Francyi i będzie mógł używać swobodnie owoców swej pracy.

Przy tym liście było jeszcze post-scriptum.

„Zapomiałem donieść ci jeszcze, kochany komendancie, że pewien bogaty przemysłowiec z okolic Sztrasburga, pan Bernard, starzec w bardzo już podeszłym wieku, mówił ze mną o tobie. Byłeś przyjacielem jego syna, młodego oficera, który kilka lat temu, w skutek nieszczęśliwego wypadku, zakończył życie w Antylach. Pan Bernard przypomina się twej pamięci."

Jerzy zbladł jak chusta. Od swego przybycia do Indyi, nie słyszał nic o ojcu Raula i sądził że już nie żyje.

W tej właśnie chwili nadbiegł jego synek podskakując wesoło, i usiadł mu na kolanach. Jerzy ujął w jedną dłoń drobne rączęta dziecka, drugą odsunął go trochę od siebie i może przez minutę przyglądał mu się uważnie, a potem postawił prędko na ziemi.

— Idź sobie, rzekł ponuro, nie przeszkadzaj mi.

Chłopczyk oddalił się zdziwiony, prawie przestraszony.

— Ah! zawołał Jerzy, załamując ręce, czy to piekielne wspomnienie już zawsze prześladować mnie będzie? Czyż już nigdy nie zdołam uwolnić się od niego?..

Zaledwie wymówił te słowa, usłyszał głos synka wołającego rozpaczliwie:

— Ojcze! ojcze! ojcze!

Głos zdawał się wychodzić z głębi ziemi; Jerzy zerwał się z ławki, pobiegł w stronę z której go dochodził i zatrzymał się przy studni, której otwór znajdował się prawie na równi z ziemią. Z głębi tej studni głos przyzywał go znowu. Jerzy pochylił się nad nią, lecz upłynęło kilka sekund zanim zdołał coś dostrzedz w ciemności. Zobaczył nakoniec synka, uczepił się on rączkami sznura, a szczęściem korpus opierał się na wiadrze, spuszczonym dość głęboko. Dzięki opiece Opatrzności, drugie wiadro, które nawet tak lekki ciężar, powinienby przeważyć i podnieść do góry, zaczepiło się o sztabę żelaza wewnątrz studni.

Jerzy patrzył, lecz zdjęty przerażeniem nie poruszał się z miejsca. Ciemność w którą wzrok zapuszczał, powiększała mu przedmioty, i zdawało mu się że widzi Raula. Uchwycił nareszcie sznur od drugiego wiadra i odczepił je; tym sposobem uczuł że trzyma dziecię w swej ręce, i uniesiony szałem nienawiści i zemsty przeciwko prześladującemu go wspomnieniu, chciał puścić sznur nagle.

Nie trwało to jednak nawet sekundy, opamiętał się, zrozumiał że zabiłby własnego syna. Nastąpiła reakcya. Blady, z czołem pokrytem wielkiemi kroplami potu, trzymał sznur konwulsyjnie zaciskając ręce, z obawy aby mu się nie wysunął, i zaczął wolno, ostrożnie podnosić dziecię do góry, żeby się nie rozbijało o ściany studni. Gdy nakoniec było już na wierzchu, porwał je na ręce, przycisnął do piersi z dziką radością, i wydając jakieś urywane krzyki, zaniósł do altanki.

Tam przez kilka minut ściskał i całował synka zalewając się łzami, następnie posadził na ławce, ukląkł przed nim z pochyloną głową, łkając głośno.

Gdy podniósł głowę, spostrzegł że dziecię, które nie wymówiło dotąd ani jednego słowa, utkwiło w nim smutne i nieruchome oczy. Było coś tak niezwykłego, tak dziwnego w tem spojrzeniu, że Jerzy zadrżał. Przyszło mu nagle na myśl, że gdy stał pochylony nad studnią, twarz jego była wystawioną na światło, dla dziecka patrzącego na nią z dołu, i że synek mógł wyczytać z jej zmienionych rysów zbrodniczą myśl jego, tak jak Raul wyczytał ją z niej niegdyś.

— O! mój Boże! pomyślał, czyżby odgadł że chciałem go zabić.

Usiadł i wziął znów synka na kolana.

— Chciałeś się bawić sznurem od studni, rzekł pieszczotliwie, i wpadłeś?

Chłopczyk skinął twierdząco główką..

— Szczęściem przybyłem jeszcze dość wcześnie aby cię uratować, odezwał się znów Jerzy zmuszając się do uśmiechu.

Chłopczyk milczał, wpatrując się w niego, ciągle tym samym wyrazem.

— Dlaczego mi nie odpowiadasz? zapytał prawie błagającym głosem. Czy mnie już nie kochasz?

W miejsce odpowiedzi dziecko zarzuciło ręce na szyję ojca, i zaczęło płakać gorzko, boleśnie; — jak dzieci niezwykły płakać. Jerzy nie śmiał już zadawać mu pytań, i nie mogąc sam utulić, odniósł go do matki.

Przez następne dni piętnaście zajmował się prawie bez wytchnienia, przygotowaniami do pierwszej wyprawy na morze, ten gorączkowy pośpiech i nadzieja oczekujących walk i zwycięztw, uspakajały go trochę, odwracając myśl od gnębiących go wspomnień. Wieczorem, gdy synek jego kładł się spać, siedział przy jego łóżeczku przeszło godzinę, i to pieścił go z uniesiem, to patrzył na niego ze łzami w oczach. Obchodził się z nim zawsze z nadzwyczajną dobrocią i słodyczą, i był wyrozumiałym nawet na jego kaprysy. Dziecko zdawało się kochać ojca równie jak dawniej, ale niekiedy zatrzymywało na nim wzrok z tym jakimś nieokreślonym wyrazem, wstrząsającym Jerzego aż do głębi duszy. Wypłynął na morze zrozpaczony, mniej pragnący walki jak śmierci.

Wkrótce po wypłynięciu z fortu, spotkał pięć angielskich okrętów. Widok tej floty, morza które tak lubił i pewność zbliżającej się walki, wróciły mu w części dawną energię. Chciał znaleźć ulgę w upojeniu zwycięztwa i sławy; ale na ten raz i tej pociechy został pozbawionym. W ciągu mglistej i ciemnej nocy, odłączyły się od niego dwie towarzyszące mu fregaty, i pozostał sam tylko na *Belonie.* Zaledwie zaczęło świtać, doszedł go od wschodu silny huk armat, i popłynął natychmiast w tę stroną. Z początku wiatr był tak słaby że statek posuwał się bardzo wolno, w południe zaś nastała zupełna cisza, a jednocześnie zabłysło słońce. Jerzy zobaczył wtenczas swoje dwie fregaty otoczone nieprzyjacielskiemi okrętami, z potrzaskanemi masztami, i schylające już flagę, ale w takiej odległości, że kule jego dział nie dosięgały nieprzyjaciela. Około drugiej cisza ustała, i wiatr pomyślny dla eskadry angielskiej popychał ją ku *Belonie.* Działa zagrzmiały skoro tylko nieprzyjaciele zbliżyli się do siebie dostatecznie, ale zaraz po pierwszym strzale kula zabiła dwóch ludzi obok Jerzego, i oderwała od parapetu kawał drzewa który uderzył go tak silnie w ramię, że upadł zemdlony na ziemię. Starszy porucznik *Belony,* nie śmiał prowadzić dalej tak nierównej walki, i cofnąwszy się śpiesznie, wrócił szczęśliwie do Trankwebaru. Zaledwie Jerzy odzyskał zdrowie, postanowił niezwłocznie rozpocząć kroki nieprzyjacielskie na lądzie. Wojsko jego miało wczasie jego nieobecności, połączyć się z wojskiem Tipoo-Saiba; wyruszył w drogę chcąc stanąć na jego czele, i dowiedział się że książe indyjski wyruszył nie czekając na niego, i spotkawszy się z wojskiem angielskiem, został pobity. Jerzy zebrał zaledwie szczątki swej małej armii, której utworzenie przyszło mu z taką trudnością. Tak więc rozchwiały się jego najświetniejsze nadzieje, i zawiedziony w swej dumie, musiał jak drugi Syzyf rozpoczynać na nowo swe zadanie. Doniósł ministrowi w słowach pełnych godności, — i nie okarżając nikogo — o doznanej klęsce, dodając tylko że będzie pracować nad tem aby mogła być powetowaną jak najprędzej. Zabrał się rzeczywiście do pracy cierpliwie i wytrwale, tylko brak mu było tego zapału jaki miał go dawniej, brak mu było wiary w przyszłość; zostając pod wpływem udręczeń zwiększających się z każdym dniem, nie pragnął już nawet powodzenia. Gdy w kilka miesięcy później, minister w liście pełnym słów pociechy i zachęty, donosił mu że go mianował admirałem, Jerzy przyjął ze smutnym uśmiechem tę łaskę fortuny, tak pożądaną dawniej!..

III.

W skutek nowo pozyskanej godności, Jerzy został skazanym na dalszy pobyt w Indyach, nad czem cierpiał dotkliwie. Od owego wpadnięcia synka jego do studni, znienawidził Indye, jak dawniej Antyle. Czuł sam do siebie odrazę; chciał zabić własnego syna, i nie mógł pozbyć się tej myśli, że ten syn odgadł zapewnie ten niegodziwy zamiar z wyrazu jego twarzy. Krył się nie raz przed ludźmi i siedząc samotnie powtarzał bezmyślnie: „On to odgadł! odgadł z pewnością!..”

Pragnąc pozyskać pewność, która jednak doprowadziłaby go tylko do rozpaczy; przyglądał się dziecku z dręczącą ciekawością, śledził jego ruchy, zastanawiał się nad każdem słowem i bladł pod jego czystem i jasnem spojrzeniem, jak zbrodniarz blednie pod spojrzeniem sędziego. W skutek tego ciągłego wpatrywania się i zastanawiania się nad jego charakterem i rysami twarzy, powziął przekonanie że jest zupełnie podobny do Raula tak pod względem fizycznym jak moralnym. Chłopczyk, był tak samo jak Raul, o ile mógł być w swym wieku, to tkliwym i skorym do wynurzenia swych uczuć, to smętnym i marzącym. W miarę jak podrastał, Jerzy wyobrażał sobie że widzi w nim żywy obraz swego niegdyś przyjaciela. Niepokojony wyrzutami sumienia, dręczony strasznemi wspomnieniami, chwilami to kochał namiętnie syna, to znów stronił od niego pod wpływem jakiegoś uczucia zbliżonego do nienawiści, i bał się go prawie. Co do swego własnego podobieństwa z Raulem, nie zwracał już na nie uwagi; uważał je jako fakt spełniony, znosił jak chorobę chroniczną, o której wiemy że nas już nie opuści. Jednak to podobieństwo przypominało się Jerzemu przez nowe i groźne objawy, czuł je na swej twarzy jakby jakąś maskę sztywną i nieustępną. Jego muskuły poruszane jakiemś wzruszeniem, z trudnością kurczyły się i rozciągały pod tą maską, nie pozostawiając na niej prawie żadnego śladu swych poruszeń. Przekonał się o tem spojrzawszy przypadkiem w lustro, w chwili gdy uniósł się gwałtownym gniewem na jednego ze swych oficerów. Żyły nabrzmiały mu na czole, twarz zbladła, a zresztą to uniesienie, jakkolwiek nie starał się nad niem zapanować, zaledwie lekkiem drganiem objawiło się na jego twarzy. Drugi raz opanowało go nagle rozczulenie gdy pieścił się z synem, ale tylko oczy zwilżyły się łzami i prawie niewidoczne drżenie poruszyło jego usta. Niekiedy miał mowę utrudnioną, a parę razy, przez czas jakiś, nie mógł pomimo największych usiłowań wymówić ani jednego słowa. Jerzy zdawał sobie sprawę z tych niebezpiecznych objawów, lecz przyjmował je prawie obojętnie. W miarę jak unieruchomiały się jego rysy, stawał się nieczułym na wszelkie silniejsze wrażenia. Gdy raz, naprzykład, wypłynął na *Belonie,* spotkał angielską fregatę i zdobył ją po gorącej walce, nie przyśpieszało to prawie uderzeń jego serca. Pragnął tylko spokoju, myślał jedynie o powrocie do Francyi, o korzystaniu ze świetnego stanowiska które okupił tak ciężkiemi trudami i cierpieniami. Rachował na to że jeźli zaszczyty, majątek i rozrywki, nie dadzą mu szczęścia, to przynajmniej dozwolą otrząsnąć się z tego otrętwienia moralnego, które wzrastało z każdym dniem prawie.

Jednak chwila odwołania go do Europy, nadeszła dopiero po upadku Cesarstwa. Wyjechał z Trank-

webaru w grudniu 1814, a szczęściem dla niego, z powodu różnych przeszkód w podróży, dopiero w środku następnego roku przybił do brzegów Francyi, to jest już po drugiej Restauracyi, a tym sposobem nie potrzebował brać żadnego udziału w wypadkach stu dni. Uważano go za dzielnego marynarza, walczącego za ojczyznę długo i wytrwale na dalekich morzach, wolnego od najlżejszego zarzutu zdrady, z tego powodu znalazł łaskawe przyjęcie u nowego rządu, a stosunki rodzinne żony nadawały mu prawo bywania u dworu. Gdy pewnego dnia, po rannem nabożeństwie, przedstawiono go królowi, Ludwik XVIII zatrzymał się, przypatrywał mu się przez chwilę, a potem rzekł zwracając się do obecnych:

„Panowie, bajli Suffren stracił już w Indyach monopol sławy, musi się nią podzielić z admirałem Jerzym."

Jerzy w tym dniu cieszył się takiem samem powodzeniem, jak to które pozyskał w świecie przed swem ożenieniem z panną d'Epagny; życzliwe słowa króla zwróciły na niego powszechną uwagę. Miał piękną i dumną postawę, w paradnym mundurze, ze wszystkiemi orderami jakie otrzymał za swe zasługi. Jakkolwiek liczył już blizko czterdzieści lat, nie zestarzał się na pozór; nawet włosów, które nosił zawsze dość długie, nie przyprószyła siwizna, tylko rysy jego stały się wydatniejsze i energiczniejsze jak dawniej. Prostopadła zmarszczka na czole, posępne spojrzenie, gorzki uśmiech, nadawały mu podobieństwo do tych dotkniętych fatalizmem postaci, które dzięki poezyom Byron'a zaczęły naówczas wchodzić w modę. Porównywano go z korsarzem, z Larą, słowem widziano w nim podobieństwo do tych wszystkich nieszczęśliwych istot, posiadających jakąś nadludzką naturę, a prześladowanych wyrzutami sumienia za popełnioną zbrodnię, i dręczonych nieuleczalnym smutkiem — nie domyślając się jak dalece porównanie to było trafnem. Przez parę godzin ten świat lekkomyślny, chciwy wrażeń i nowości, mówił tylko o nim, o jego walkach, przygodach i jakichś tajemniczych okolicznościach jego życia, które nie zostały nigdy wyjaśnione. Jerzy używał rozkoszy zadowolnionej dumy, widząc że wszystkie spojrzenia zwracają się ku niemu, że jest wyłącznym przedmiotem rozmowy. Wrócił do siebie z sercem przepełnionem radością i wiarą w szczęśliwą przyszłość, zdawało mu się że nieszczęście prześladujące go tak długo już nie dotknie go teraz.

Wszedł do tegoż samego gabinetu, w którym dziesięć lat temu, w kilka dni po ślubie, oddawał się błogim marzeniom. Nie usiadł teraz na fotelu przy kominku, ale chodząc wolno po gabinecie, uśmiechał się, jak wówczas do przyszłości otwierającej się przed nim. Nagle spostrzegł nad kominkiem list którego przed tem nie widział, poznał natychmiast pismo i pieczątkę. Był od ojca Raula, i zawierał tylko kilka następujących wierszy:

„Panie, tylko co przyjechałem do Paryża, i stanąłem w oberży pod "Złotym lwem", przy ulicy świętego Marcina. Czekam pana dziś o dziewiątej wieczorem, jeźli nie przyjdziesz, sam udam się do ciebie."

Ten list sprawił na Jerzym mniejsze wrażenie niżby sam spodziewał się tego. Cierpiąc tak długo i prawie bez przerwy, doszedł do pewnego zobojętnienia.

— Mogłem spodziewać się tego, szepnął tylko, zaczynałem być szczęśliwym!.. Ale dodał groźnie: musi się to raz skończyć, pójdę do niego!

Zaczął znów chodzić po pokoju, rozmyślając jak się ma zachować przy tem spotkaniu, którego dawniej lękał się tak bardzo, a teraz oczekiwał prawie obojętnie. Sądził że ojciec Raula jest już zdziecinniałym starcem, w którego głowie utkwiła ta myśl jedyna, aby się dowiedzieć jakim sposobem syn jego utracił życie. Zamierzał więc onieśmielić go trochę dumnem obejściem, i zadość uczynić jego życzeniu, opisując, o ile można najtreściwiej, to co mógł powiedzieć o śmierci Raula.

Jednak dzień wydawał się Jerzemu bardzo długim, i oczekiwał wieczora z niecierpliwością połączoną z jakimś niepokojem. Wyszedł z domu już o ósmej, w długim surducie, w butach à la Suwarów, i z laseczką w ręku. Pomimo postanowienia powziętego rano, był posępny, niespokojny i rozdrażniony; prócz tego czuł że krew uderza mu często do twarzy. Gdy stanął na ulicy świętego Marcina przed wskazanym mu domem, zadziwił się że pan Bernard, który jak pisał minister był bogatym, wybrał sobie hotel tak niepozorny. Nad drzwiami kołysała się czerwona latarnia, a drzwi same stanowiła krata, do której był przytwierdzony dzwonek. Przypominał sobie jednak że słyszał już coś o tym hotelu, i zdawało mu się że to Raul wspominał mu o nim, lecz nie pamiętał już z jakiego powodu.

Jerzy otworzył drzwi po krótkiem wahaniu, i zapytał o pana Bernard. Wskazano mu numer pokoju znajdującego się na pierwszem piętrze. Jerzy wszedł na schody, ale zatrzymał się znów przed drzwiami oddzielającemi go od ojca Raula, lecz wkrótce zawstydził się swej słabości, i otworzył je prędko. Jak tylko wszedł do pokoju, lampa stojąca na stole której refrektor zdawał się umyślnie zwrócony ku niemu, oświeciła go od stóp do głowy, gdy przeciwnie, cień padał na pana Bernard, siedzącego w fotelu po drugiej stronie stołu. Wstał prędko skoro tylko spostrzegł Jerzego, i szedł do niego z wyciągniętemi rękami, wydając jakieś urywane krzyki. Gdy był już tylko o parę kroków, stanął wpatrując się w niego z wyrazem obłędu, potem z głębokiem zadziwieniem, a w końcu uspokoił się zupełnie i rzekł.

— Syn mój, zapewniał mnie nie raz w swych listach, że pan jesteś podobnym do niego, ale nie przypuszczałem nigdy aby to podobieństwo było aż tak wielkie. Zechciej pan usiąść.

Mówiąc to wskazał mu fotel naprzeciw swego. Jerzy usiadł, ale pierwej spokojnie, bez pośpiechu, odwrócił do połowy lampę. Tym sposobem mógł widzieć ojca Raula siedzącego po drugiej stronie stołu.

Pan Bernard był ośmdziesięcioletnim starcem, wysokiego wzrostu, pomimo że go już wiek pochylił. Jego ręce wsparte na stole były tak chude, że pod suchą i pomarszczoną skórą, znać było wszystkie stawy. Długie, białe włosy spadały po obu stronach martwo bladej twarzy, tylko oczy błyszczały jakimś dziwnym i silnym blaskiem. Zdawało się że resztki życia pozostałe jeszcze w tem zużytem ciele, ześrodkowały się tam aby zgorzeć w tym przerażającym ogniu. Te oczy były teraz utkwione w twarzy Jerzego.

— Wybacz, panie hrabio, rzekł starzec z pewnym odcieniem ironii, że cię przyjmuje w takim jak ten pokoju, ale stałem w tym hotelu gdy byłem ostatni raz z Raulem w Paryżu, i odtąd zawsze tu staję.

Jerzy ukłonił się w milczeniu.

— Teraz zechciej mi pan objaśnić czemu nie odpowiadałeś na moje listy?

Stosownie do ułożonego rano planu, Jerzy chciał onieśmielić starca a jednak uwzględnić jego życzenie, dlatego też odpowiedział z pewną wyniosłością:

— Okoliczności niezależne od mej woli, nie dozwoliły mi odpowiedzieć na dwa pierwsze, odebrałem obydwa w chwili wyjazdu. Co do trzeciego, był skreślony w taki sposób, że nie mogłem uczynić nic więcej jak zapomnieć o nim. Odebrałem ostatni dziś rano, i zgłosiłem się do pana.

— Niech i tak będzie, rzekł ojciec Raula. Czy zechce mi pan teraz opowiedzieć okoliczności towarzyszące śmierci mego syna?

— Tak, rzekł Jerzy.

Milczał chwilę, a potem odezwał się:

— Wiadomo panu że Raul i ja byliśmy porucznikami na fregacie *Thétis*. Wciągu naszej ostatniej wycieczki na morze, komendant został zabitym, a starszy porucznik tak ciężko ranionym, że po powrocie naszym do Gwadelupy trzeba było się przenieść na ląd. Wtenczas Raul został tymczasowym komendantem fregaty, i otrzymał rozkaz odebrania Anglikom fortu Świętej Trójcy.

— Wiem to wszystko. Donosił mi te szczegóły syn mój, w liście pisanym przed samem wyruszeniem z Gwadelupy na tę wyprawę.

— Fregata nasza dopłynęła do fortu nazajutrz, i tegoż samego dnia Raul zakończył życie. Było to w maju 1801.

— Tak, 31 maja, rzekł starzec. Powiedziano mi datę, i, dodał przymrużając oczy, jakby mówił do siebie, musiał umrzeć około północy.

— Zkąd pan to wie? zapytał Jerzy, zadrżawszy silnie.

— Więc skończył rzeczywiście o tej porze! zawołał pan Bernard drżący ze wzruszenia, unosząc się na fotelu:

— Nie wiem tego, odpowiedział Jerzy, zwracacając na starca zimne spojrzenie.

To zaprzeczenie Jerzego wywołało na twarz pana Bernard wyraz najżywszej podejrzliwości. Nasuwało mu się gwałtem na usta pytanie dlaczego Jerzy tak zadrżał, jeźli godzina śmierci Raula była mu rzeczywiście niewiadomą, ale powstrzymał je i rzekł tylko:

— Słucham pana.

Rozmowa była podobną do pojedynku, między dwoma nieubłaganymi przeciwnikami.

Jerzy mówił dalej, ale bardzo wolno. Gwałtowne uderzenia pulsu rozsadzały mu prawie skronie, i każde słowo wymawiał z trudnością. To jąkanie które ojciec Raula mógł przypisać obawie, drażniło go do najwyższego stopnia, i starał się usilnie zapanować nad niem.

Tym sposobem opisał plan ataku na fort, obmyślony przez Raula, i doszedł do chwili w której obydwa udali się na rekonesans.

— Każdy z nas poszedł inną ścieżką. W pół godziny później ja pierwszy stanąłem na oznaczonem miejscu. Tam, naprożno czekałem na niego przez kilka godzin, i zaczęło już świtać gdy zmuszony koniecznością wróciłem na fregatę. Nazajutrz, zaraz po zdobyciu fortu, wysłałem w góry oddział złożony z pięćdziesięciu ludzi, z poleceniem przedsięwzięcia najściślejszych poszukiwań, i oni to przynieśli ciało Raula na noszach, w kilka godzin później. Wydobyli je z głębokiej przepaści.

Nastąpiła chwila ponurego milczenia. Jerzy starał się patrzeć obojętnie na tę straszną przeszłość, której najdrobniejsze szczegóły tak wiernie przedstawiały się w jego pamięci po czternastu latach, jakby dziś patrzył na nie. Pan Bernard przyciskał silniej do stołu swe drżące ręce, i pocby

lony ku Jerzemu wlepił w niego spojrzenie zaostrzone pedejrzliwością i nienawiścią, przed którą już ciało nie zdoła ukryć tajemnicy duszy.

— Więc pan nie był świadkiem jego śmierci?

— Nie, wybąkał Jerzy.

— I pan utrzymuje że nikt nie był przy nim w tej chwili?

— Tak, gdyż inaczej wiedziałbym o tem.

— To być nie może! zawołał starzec zimnym i ostrym głosem, gdyż syn mój nie spadł od razu na dno przepaści.

Jerzy nie odpowiedział ani słowa; czuł już że go spotka coś strasznego, i skupiał wszystkie swe siły, aby znieść ten cios nowy i nie zdradzić się niczem.

— Teraz ja opiszę panu śmierć Raula, odezwał się pan Barnard uroczystym głosem. Było to 31 maja około jedenastej w nocy. Leżałem już w łóżku przy którem na stoliku paliła się jedna tylko świeca, słabo oświecająca pokój. Nagle opanowało mnie jakieś niepojęte dla mnie wzruszenie, i usłyszałem że mnie przyzywa jakiś głos bezdźwięczny, gdyż nie działał na mój słuch, tylko na wyobraźnię. Jednocześnie oczy moje zwróciły się same przez się wgłąb pokoju, i tam zobaczyłem o kilka stóp nad podłogą, jakby przylepioną do ściany, i rysującą się na niej wyraźnie, postać mojego syna. Było coś niepojętego dla mnie w postawie tej postaci: skurczona we dwoje, zdawała się trzymać rozpaczliwie rękami i nogami jakiegoś niewidzialnego dla mnie przedmiotu. Przypomniałem sobie iż Raul mówił mi nie raz, że mi się ukaże w chwili śmierci, za pomocą wysiłku swej woli, i zadrżałem aż do głębi duszy, na myśl że dotrzymał obietnicy. Uspokoiłem się jednak spojrzawszy na twarz jego podniesioną w górę jakby patrzył na kogoś, była pomimo wzruszenia, prawie wesoła. Zdawał się coś mówić bo poruszał lekko ustami, ale wkrótce rysy jego przybrały wyraz żywego niepokoju, członki jego poruszyły się i zaczął mówić prędzej; zdawało się że słaba podpora utrzymująca go dotąd, zaczyna uginać się pod jego ciężarem. W tej chwili widzenie znikło prawie; zapewnie myśl mego syna odwróciła się odemnie, lecz wkrótce ukazało mi się znów tak wyraźnie jak przedtem. Teraz twarz jego wyrażała bezmierną rozpacz, widać było że wymawia gwałtownie jakieś słowa jakby błagał lub złorzeczył; usta jego wykrzywił uśmiech gorzki, bolesny; poruszenia jego nóg i rąk były nagłe, konwulsyjne; musiał już czuć że spada. Spadł... Ah! jakże przerażającą stała się twarz jego!

Jerzy milczał; całą istotę jego opanował szalony przestrach, o jakim dotąd nie miał wyobrażenia. Widział także Raula w ciemnościach przepaści, widział martwe a jednak groźne jego zwłoki rozciągnięte na noszach.

Starzec podniósł spuszczoną chwilowo na piersi głowę i odrzucił w tył, ściskając ją silnie w rękach niknących pod białemi włosami.

— A! zawołał wpatrując się w Jerzego, twarz twoja jest tak zmieniona jak była twarz Raula, tak samo jak jego twoje czoło przerzyna przez środek prosta i głęboka zmarszczka; przestrach nos twój rozdyma, a jaki okropny uśmiech osiada na twych ustach!..

W miarę jak mówił pan Bernard, Jerzy czuł że czoło mu się marszczy, nozdrza rozszerzają, a usta się wykręcają. Wszystkie muskuły twarzy zmieniały jednocześnie swe zwykłe położenie, ulegając jakiejś tajemniczej sile, nakoniec zadrgały nagle i boleśnie i nie poruszyły się więcej.

— A! jesteś teraz takim jak mi się ukazał Raul! zawołał starzec. O! Boże sprawiedliwy! nie omyliło mnie przeczucie! Ten człowiek musiał patrzéć na śmierć mego syna, skoro twarz jego mogła stać się taką jak Raul miał w tej chwili. Tak to do ciebie on mówił, do ciebie podnosił oczy. Dość ci było zapewnie podać mu rękę aby go uratować, a ty pozwoliłeś mu umrzéć. Jednak ty byłeś dla niego wszystkiem; kochał cię więcej niż mnie, swego ojca. Był twoim przyjacielem, twym bratem.

Starzec zatrzymał się, jakby nagle ochłonął ze wzruszenia, potem wyciągnął ku Jerzemu rękę i zawołał przerażającym głosem:

— Kainie! Kainie! co zrobiłeś z twym bratem?

Chciał jednocześnie rzucić się ku niemu, lecz mu sił nie stało. Opadł na fotel, i mówił dalej głosem osłabionym, drżącym z gniewu, przerywanym łkaniem:

— Ale ja pomszczę się za ciebie, Raulu, powiem że to on cię zabił. Powiem że to nikczemnik który cię poświęcił dla zadowolnienia swej pychy. Zebrałem różne poszlaki. Pokażę twoje listy w których pisałeś że ci zazdrości. Śledziłem go przez te kilkanaście lat, wiem jakie walki staczał ze swem sumieniem, z dręczącym go strachem. Było w jego sposobie życia coś niezwykłego, tajemniczego, ja odkryję wszystkim tę tajemnicę.

Zamilkł, jakby się nad czemś namyślał, a potem dodał z pogardliwym śmiechem:

— Dowody! poszlaki! alboż to potrzebne! Dosyć mi będzie oskarżyć go i pokazać sędziom tę okropną twarz jego; w każdym jej rysie wyczytają jego zbrodnię.

Jerzy nie miał siły pozostać dłużej. Zerwał się, otworzył drzwi i zbiegł ze schodów zataczając się jak pijany. Przez dwie godziny biegał nieprzytomny po ulicach, szukając własnego domu i nie mogąc do niego trafić.

IV.

Jerzy, wróciwszy do siebie, spędził resztę nocy i część dnia w swym wielkim fotelu, z głową wspartą na dłoniach. W pokoju było zupełnie ciemno. Rozgniewał się i kazał wyjść służącemu, gdy ten wszedł, jak zwykle o ósmej rano, otworzyć okiennice. Znajdował się w takiem usposobieniu jak człowiek skazany na śmierć. Od czasu do czasu przebiegał go dreszcz od stóp do głowy, stracił hart duszy i bystrość umysłu. Był pewnym że lada chwila przyjdą go aresztować, i najlżejszy nawet szelest budził w nim przestrach. Czuł że sam się zdradzi jeżli stanie przed sądem. Przyprowadzała go do rozpaczy ta myśl, że te czternaście lat ciągłych niebezpieczeństw i pracy, te zaszczyty tak drogo okupione, to znaczenie o które mu tak chodzi, skończą się na hańbiącym wyroku. Pozostanie mu tylko wstrętna sława mordercy dla zadowolnienia pychy, prawie bratobójcy. Słuchał miarowego odgłosu poruszającego się wahadła, a godziny pełne dla niego najgorszych męczarni, upływały mu zarazem zbyt wolno i zbyt śpiesznie. Gdy już minęło południe, w sercu Jerzego zabłysła iskierka nadziei; obrachował że ojciec Raula miał już czas zanieść przeciwko niemu skargę, i gdyby uwzględniono to oskarżenie, byłby już aresztowanym. Umysł jego rozjaśniał się stopniowo, a jednocześnie odzyskiwał energię. Bądź co bądź, pan Bernard nie miał żadnych dowodów. Cóż mogło znaczyć jego podobieństwo z Raulem, zupełnie zresztą nieznanym jego sędziom. Prócz tego, wszakże był hrabią, admirałem, człowiekiem zaszczyconym łaską króla. Aby zniweczyć oskarżenie ośmdziesięcioletniego starca, dość dla człowieka w jego położeniu, przyjąć je z pogardą. Tak więc nieszczęścia spadające na tego człowieka jedne po drugich pobudzały go zawsze tylko do walki, w której spodziewał się być zwycięzcą, nigdy do skruchy i pokuty. O szóstej wieczorem zapukano nieśmiało do jego drzwi. Te lekkie uderzenia okazały Jerzemu całą nicość jego nadziei; twarz jego pokryła się martwą, śmiertelną bladością. Przejęty obawą, dopiero po chwili wahania powiedział: „proszę wejść.“ Otworzono drzwi, i służący jego oddał mu list. Biorąc go pomyślał że to prokurator królewski chciał zapewnie ostrzedz go, uwiadamiając o podanem przez pana Bernard oskarżeniu, zanim wyda rozkaz aresztowania. Jednak list, który trzymał w ręku, nie wyglądał na list urzędowy, był tylko zaklejony lakiem i nie miał koperty. Zapalił świecę i przekonał się że adres był skreślony bardzo niewprawną ręką, zdziwiony tem, otworzył go śpiesznie i przeczytał:

Panie hrabio!

„Zechciej przebaczyć tak mnie jak mojej żonie że ośmielamy się pisać do pana hrabiego, lecz znajdujemy się w strasznym kłopocie, i udajemy się do pana hrabiego z tego powodu, że pan Bernard kazał nam wczoraj odnieść list do niego, a nie wiemy czy znał jeszcze kogoś więcej w Paryżu. Biedny człowiek, po całonocnej walce ze śmiercią, dziś rano zakończył życie. Doktór powiada że umarł ze starości. Gdyby pan hrabia zechciał nam wskazać co mamy czynić, bylibyśmy za to nieskończenie wdzięczni.“

Jerzy odetchnął kilka razy głośno, głęboko; po przeczytaniu tego listu, zdawało mu się że jakiś olbrzymi ciężar spadł mu z piersi. Teraz był już zupełnie bezpiecznym.

Zadzwonił na służącego.

— Idź natychmiast, rzekł do niego, do oberży pod „Złotym lwem“. Powiesz tam że to ja cię przysyłam. Weź pieniądze, i porozumiej się z właścicielem hotelu co do załatwienia potrzebnych formalności, i o koszta pogrzebu niejakiego pana Barnard zmarłego dziś rano.

Jerzy zostawał pod wpływem tak silnej radości, że nie widział nawet z jakiem przerażeniem spoglądał na niego służący wychodząc z pokoju.

Otworzył sam okiennice i okna, potrzebował powietrza. Doznawał prawdziwej przyjemności patrząc na niebo, słuchając turkotu powozów toczących się przez ulicę.

— A! zawołał, to ostatnie wstrząśnienie było okropne, straszne, ale uwolniło mnie już na zawsze od nienawistnego wspomnienia. Już prawie nie myślałem o Raulu, a teraz ojciec jego już umarł. Czuję się szczęśliwszym i silniejszym niż kiedykolwiek w życiu. I muszę się ubrać, dodał prędko, aby się nikt nie mógł domyśléć jak przepędziłem noc dzisiejszą.

(D. n.)

Opis do N-ru 51.

N. 1—3. Ubrania spacerowe dla dam i dzieci.

N. 1. Ubranie z tuniką fartuszkową. Krój tuniki na r. 28.

Model odrobiony był z ciemno zielonego sukna i takiego aksamitu. Spódnicę ułożoną w kontrafałdy, zdobiła plisa aksamitna 14 cent. szeroka i kilka zakładek stopniowanej szerokości, zajmujących 14 cent. Z jednego boku wygląda z pod fartuszkowej draperyi bryt prosty 120 cent. długi, złożony w szerokie fałdy, a u dołu oszyty plisą aksamitną. Przednią część draperyi, której połowę przedstawia na ryc. 28 litera *a*, oszywa się z boków plisą aksamitną, 20 cent. szeroką i fałduje w miejscach wskazanych krzyżykami i punktami; brzeg górny zachodzi na baskinę stanika, ozdobionego plastronem gładkim aksamitnym. Tylną część draperyi *b* fałduje się i upina podług znaków.

N. 2 i 16. Ubranie spacerowe z płaszczykiem fałdowanym.

Płaszczyk fałdowany z czarnego „Foulé", z watowaną ponsową atłasową podszewką, łatwo odrobić można podług małego modelu ryc. 16. Przody *a* trzeba najpierw podług znaków sfałdować, następnie zeszyć z częściami *b*, które częścią górną stanowiącą boczek zeszywa się z plecami, a z tyłu w środku ze sobą. W górze przy szwie środkowym zakłada się w dwie strony płaskie fałdy, podchodzące pod baskinę pleców. Na fałdowane przody zachodzi karczek krajany razem ze zwierzchnią częścią rękawów, podług *d*. Pod karczek nie daje się waty, a górny brzeg spodniej części rękawa, oznaczonej na *d* linijką kropkowaną, wszywa się pomiędzy przody i karczek. W otwory pachy wszywa się drugie krótkie, wązkie rękawy. Wykrój szyi i rękawy zdobi szenelowa, 11 c. szeroka pasmanterya.

N. 3. Płaszczyk z pelerynką dla małej dziewczynki. Krój podług ryc. 33 i 34 w N. 47. Tygodnika Mód.

Górną część płaszczyka mającą 30 cent przedniej a 33 tylnej długości, przykroić podług powyżej wzmiankowanej formy, a u dołu dodać część oddzielną 22—24 cent. długą, a 155 c. szeroką, złożoną w środku z tyłu w 14 cent. szeroką, potrojną kontrafałdę, od przodu w dwie 11 c. szerokie fałdy. Patki aksamitne 30 c. długie w środku 10 cent. szerokie, przyszywa się razem ze spódniczką, szwem odwracanym do płaszczyka. Pod patkami przyszyte są wstążki aksamitne, związane z tyłu na sutą kokardę. Zgrabna pelerynka mająca z przodu 12, z tyłu 15 i pół cent. długości składa się z dwóch części zeszytych z tyłu i zaszytych w kontrafałdę 8 cent. szeroką, oszytych u dołu plisowaniem 10 cent. szerokiem. Model płaszczyka odrobiony był z popielatego kaszmiru, z ponsową watowaną podszewką, patki i mankiety z popielatego aksamitu, kokarda ze wstążki aksamitnej 5 c. szerokiej. Guziczki małe stalowe. Kapotka atłasowa z rondkiem aksamitnem, ubrana wązką atłasową wstążką.

N. 8—9. Ubranie z vêtement dla panienki lat 10—12. Krój podług ryc. 27 i 28 w N-rze 45 Tygodnika Mód.

Ryc. 8 i 9 przedstawia z przodu i z tyłu suknię ozdobioną rzędami stębnówki lub zakładkami, którą zrobić można z każdego wełnianego materyału. Spódnica złożona jest w 7 szerokich kontrafałd, dawanych w odstępie 4 cent.; z przodu naszyte są między fałdami spiczasto zakończone pasy aksamitne. Do vêtement dodana jest aksamitna kamizelka, przypinana na guziczki; przody krajane razem z boczkami, zaszyte są w wązkie zakładki, a u dołu zaokrąglone i nakształt panier podpięte. Na draperyę tylną przy krajaniu pleców dodaje się poniżej wcięcia w pasie potrzebną ilość szerokości materyału, która składa się w fałdy idące do spodu. Kołnierzyk stojący i mankiety aksamitne; kokardy z aksamitnej wstążki.

N. 10. Żabot chusteczkowy „Molière".

Na pasku sztywnego tiulu układa się bufę z tiulu jedwabnego wyszytego w muszki szenelowe, na 10 cent. od dołu ściśle przemarszczoną na falbanę i spiętą sutą kokardą z wązkiej wstążki; drugą kokardę przypina się w górze.

N. 12. Kapotka aksamitna.

Na gładko pokryte aksamitem rondko kapelusza, spuszczony jest brzeg fałdowanej główki nakształt falbany w środku 8 cent. szerokiej, w końcach do 3 cent. zwężonej, nad czołem podniesionej w górę kokardą z aksamitnej 6 i pół cent. szerokiej wstążki, przypiętej na rondzie. Z tyłu kapelusz oszyty jest skośnym fałdowanym aksamitem. Szarfy ze wstążki aksamitnej z atłasowym spodem. Dwa wielkie fryzowane pióra mogą być tego co kapelusz lub odmiennego koloru.

N. 13. Kapelusz szenelowy.

Kapotkę plecioną ze szneli popielatej i srebrnej plecionki, z brzegu oszytą warkoczem szenelowym, zdobi bukiet popielatych szenelowych kwiatów. Rondo podszyte sutą riuszą z materyi, szarfy ze wstążki pluszowej.

N. 14—15 i ryc. 27 w N-rze 52. Worek na nogi. Aplikacya haftu krzyżowego na pluszu.

Oprócz ozdobnej roboty zasługuje na uwagę nowe urządzenie worka podanego na ryc. 27 w N-rze 52, do którego sztywnej, spodniej strony dodana jest klapa gdy worek nie jest w użyciu zapinana na prawą stronę, a gdy wkłada się nogi stojąca w górę z tyłu, ażeby takowe



N. 1—3. Ubrania spacerowe dla dam i dzieci.

N. 1. Ubranie z draperyą fartuszkową. Model kroju draperyi na ryc. 28. N. 2. Ubranie z długim płaszczykiem fałdowanym. Model kroju na ryc. 16. N. 3. Płaszczyk z pelerynką dla małej dziewczynki. Krój podług formy do ryc. 33 i 34 w N-rze 47 Tygodnika Mód.

ogrzewać wyżej. Na modelu do ryc. 27 worek zrobiony z pluszu wełnianego morderowego, zdobiła aplikacya figur robionych oddzielnie na kanwie, wycinanych i przyszywanych na pluszu. Dwa są sposoby przyczepiania roboty krzyżowej, albo wycina się kanwę tak ażeby po brzegach wszędzie zostawał jeden krzyżyk, następnie fastryguje się figurę na pluszu, a brzegi przyszywa się ściegiem krzyżowym, włóczką tego co tło koloru, jak to wskazane jest na ryc. 15. W drugim sposobie podanym na r. 14, kanwę wycina się jak w poprzednim, przyszywa półściegiem do pluszu, a z wierzchu oszywa się kontury złotym sznureczkiem. Gdyby z pod obrobienia całym krzyżykiem, lub z pod oszycia sznureczkiem wyglądały brzegi nitek kanwy,, trzeba je obciąć ostrożnie nożyczkami. Podszycie worka futrem najlepiej powierzyć kuśnierzowi.

N. 21. Ubranie balowe.

„Voile" mlecznej białości i takaż gaza jedwabna haftowana w czerwone i ciemne wiśnie, użyte były do odrobienia sukni odznaczającej się lekkością i elegencyą stosowną dla młodych osób. Spódnica ogarnirowana u dołu 16 cent. szerokiem plisowaniem z voile, dalej lekko nadmarszczoną falbanką gazową, oszytą 10 cent. szeroką imitacyą walacienki, nad którą naszyta druga koronka, plisowanie i jeszcze jedna falbanka gazowa. Fartuszkowa gazowa, koronką oszyta tunika, podpięta jest z boków kokardami z 5 cent. szerokiej wiśniowaj aksamitnej wstążki, którą podpięta jest także draperya tylna. Tę ostatnią układa się z prostego, odwracanym sposobem przyszytego bryta voile, na którym upięty jest w pukle 60 cent. szeroki a 140 długi bryt gazowy. Stanik bawetowy z przodu i z tyłu w ząb wycięty, ogarnirowany jest u dołu, z przodu i przy wykroju falbanką gazową i koronką. Zapięcie z przodu na małe guziczki z konchy perłowej, prawie zupełnie pokrywa żabot z koronki i aksamitnej wstążki; bardzo krótkie rękawki z voile przykrywa koronka spięta na wierzchu ramion kokardami.

N. 23—24. Kosz do robót, ozdobiony robotą szydełkową ze szneli.

Koszyk w kształcie głębokiej muszli mającej 33 cent. długości, umieszczony na postumencie, mającym wysokość, stoliczka, zrobiony z pręcików bronzowo lakierowanych. Środek koszyczka wysłany atłasem oliwkowo-zielonym, na zgięciach muszli dane były paski wązkie z pluszu miedzianego koloru, zakończone w górze pomponami; brzeg górny muszli oszyty sznurem jedwabnym tego co atlas koloru, a zewnętrzną stronę koszyczka zdobią zęby lambrekinowe, robione ze szneli w trzech cieniach miedzianego, i dwóch oliwkowego koloru, oraz pompony z włóczek i jedwabiu w takich jak lambrekiny kolorach. Próbkę o połowę zmniejszoną jednego zęba lambrekiny szydełkowej, dajemy na ryc. 24; robotę zaczyna się od środka rozety, która robiona była ze szneli miedzianej w 3 cieniach do rozety dorabiają się następnie zęby oliwkowe. Układ pomponów wskazuje ryc. 23.

N. 25 i 26 Dwa czepeczki dla młodych mężatek.

N. 25. Czepeczek z welonikiem.

Czółko ze sztywnego tiulu, mające 7 cent. środkowej a 1 c. szerokości brzeżnej, 24 c. długości w prostym brzegu tylnym, a 22 w zaokrąglonym brzegu przednim, garniruje się w ten sposób dwoma rzędami koronki gipiurowej jedwabnej 7 cent. szerokiej, że rząd pierwszy wystaje 4 cent. za brzeg czółka. Pomiędzy koronką wpięte są pukielki 7 cent. długie z aksamitki bordo, 2 c. szerokiej. Welonik z żółtawej gazy zręcznie upięty rozetą i pukielkami ze wstążki, ma 30 cent. długości a 35 szerokości, dolny brzeg jest trochę zaokrąglony, górny przyfałdowany i do czółka przyszyty, a brzegi pozostałe są oszyte koronką. Na przyszyciu welonika do czółka, dana jest kokarda ze wstążki 7 cent. szerokiej, w kolorach i guście chińskim, której pukle mają po 11 cent. długości; kokarda w miejsce węzła przepięta jest w środku rozetą z aksamitki.

N. 26. Czepeczek strojny z surach.

Model czepeczka zrobiony był z dwóch kawałków niebieskiej surah, mających 18 cent. długości a 34 szeroko-

ści, w krótkich końcach oszytych koronką 8 cent. szeroką. Każden kawałek materyi przemarszcza się w środku dwa razy i ściąga do 7 cent., a w odstępie 1-go c. nad oszyciem koronką jeden z brzegów poprzecznych zmarszczyć do 8, drugi do 12 c.; następnie oba dwa kawałki naszyć w sposób wskazany na r. 26 na czółku ze sztywnego tiulu tak, ażeby przemarszczenia środkowe schodziły się w ząb nad czołem; brzegi poprzeczne do 8 cent. przymarszczone, były przyczepione poprzecznie do czółka, a brzegi 12 cent. mające, spuszczone były do tyłu.

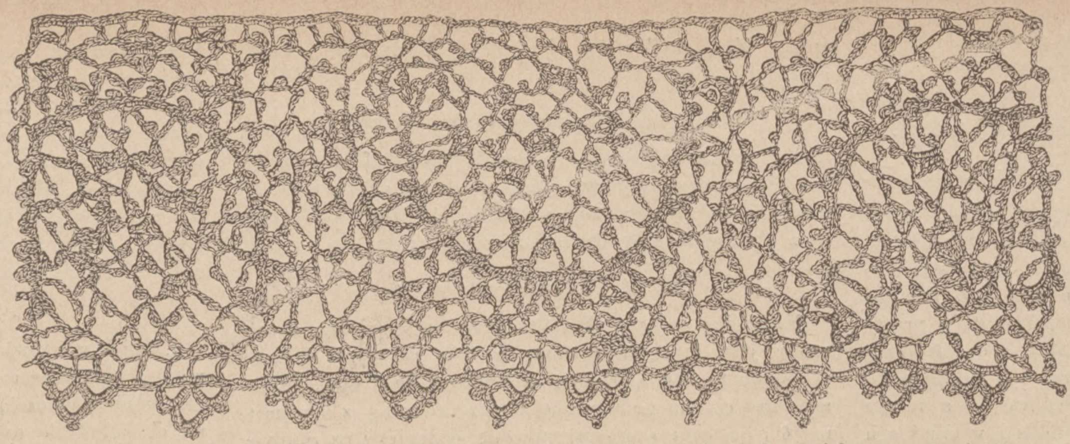


N. 4. Widok pleców płaszczyka podanego z przodu na r. 3 w N. 52. Krój podług formy do r. 47 w N. 47 Tyg. Mód.

Brzeg przedni czółka ogarnirowany koronką plisowaną na którą zachodzi falbana haftowana, niebieska krepowa.

N. 27. Dywanik „Carpet“, przed łóżko. Haft smyrneński. Wzór szlaczku wązkiego na r. 21 w N. 52 Tygodnika Mód.

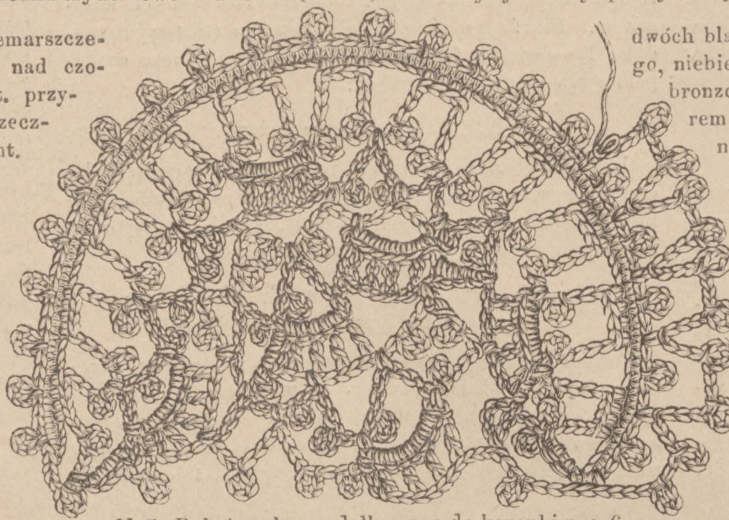
Model dywanika mającego 112 cent. długości a 67 szerokości, miał tło 30 c. szerokie a 60 cent. długie, dane z pluszu w deseń kolorowy, naśladujący skórę tygrysią, a szlaki haftowane sposobem smyrneńskim na czarnym, dubeltowym materyale. Ten rodzaj haftu dokładnie przedstawiony był w N-rze 42, na ryc. 19, 20 i 25, lecz gdy tam przeważał haft łańcuszkowy, dywanik przed łóżko robiony był haftem płaskim, sznureczkowym i ścieg długi dwunitkowy, przeszywany drobnemi, poprzecznemi ściegami. Próbkę ściegów przedstawia dokładnie ryc. 21 w N-rze 52, na której dany jest szlaczek wązki; szlaku szerokiego nie podajemy dla braku miejsca. Do haftu użyte były włóczki angielskie i hamburgskie w dwóch bladych cieniach koloru oliwkowego, niebieskiego i terracota i trzy cienie bronzowe. Dywanik podszywa się szarem płótnem, do brzegów poprzecznych przyrabia się czarną frendzlę, a brzegi podłużne oszyte są grubym sznurem.



N. 6. Koronka szydełkowa irlandzka (Clones). Zobaczyć jeden ząb powiększony na ryc. 7.



N. 5. Widok pleców do ryc. 4 w N-rze 52 Tygodnika Mód.



N. 7. Robota zęba szydełkowego do koronki ryc. 6.



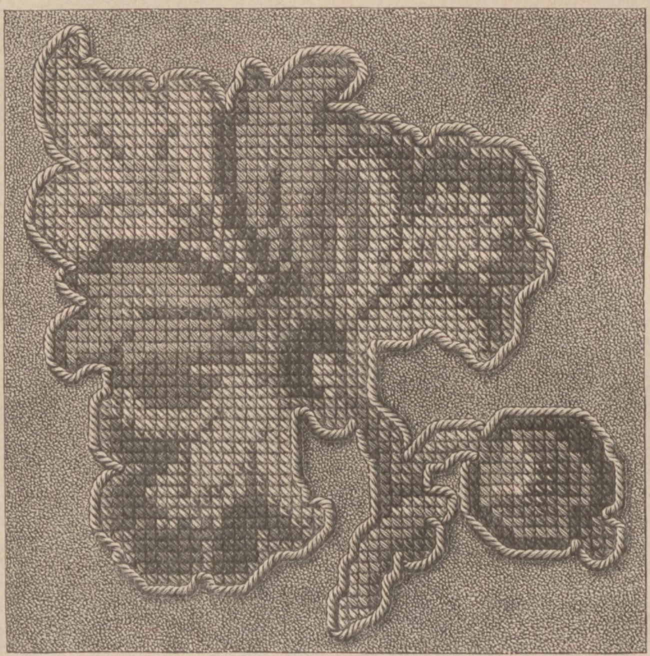
N. 8. Suknia z vêtement dla panienki lat 10 do 12. Zobaczyć plecy na ryc. 9. Krój podług formy do ryc. 27—28 w N-rze 45.



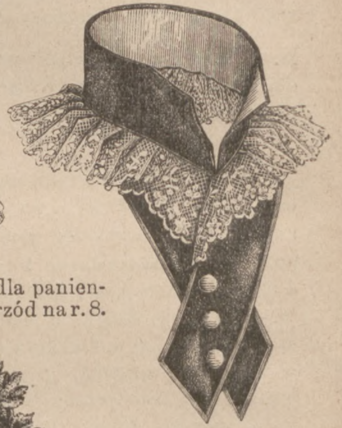
N. 9. Suknia z vêtement dla panienki lat 10—12. Zobaczyć przód na r. 8.



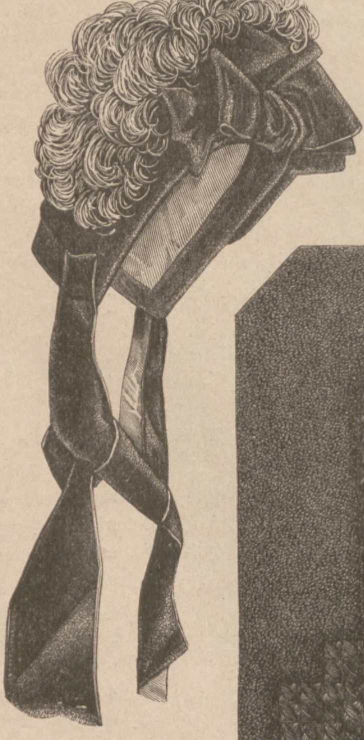
N. 10. Żabot chusteczkowy „Molieré“.



N. 14. Pojedyńcza figura do aplikacyi. Haft krzyżowy z konturami obiętemi sznureczkiem, do ryc. 30 w N-rze 52.



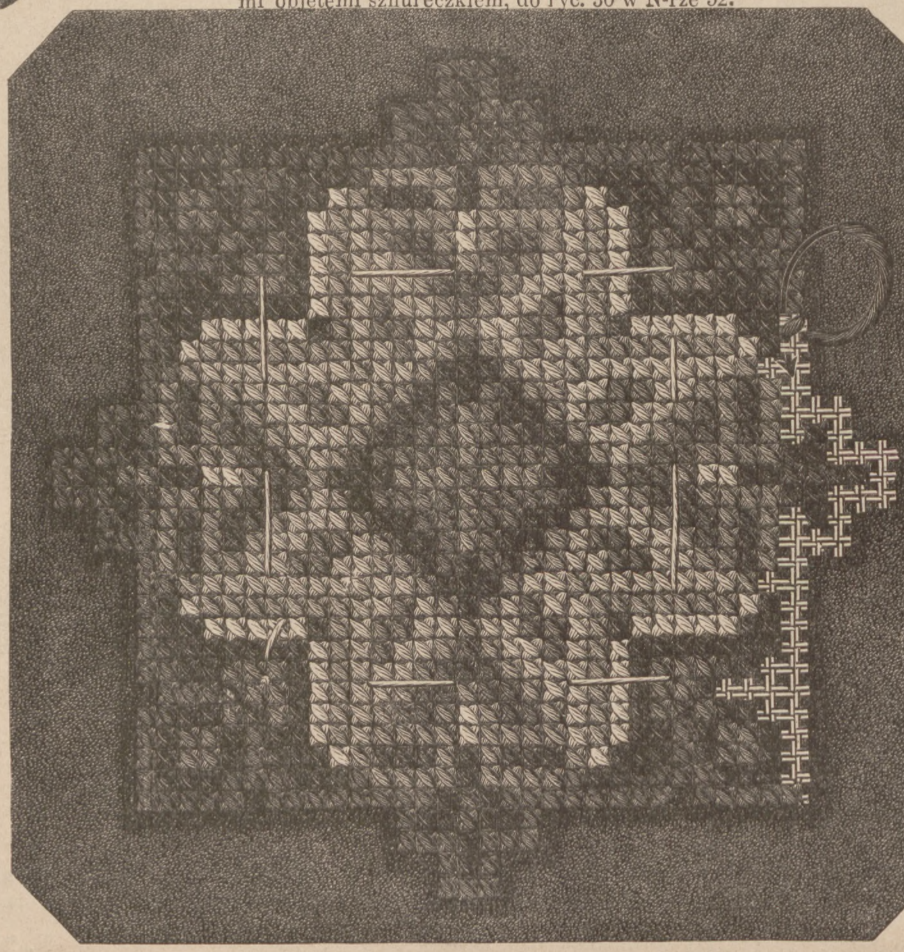
N. 11. Chusteczka kąmizelkowa.



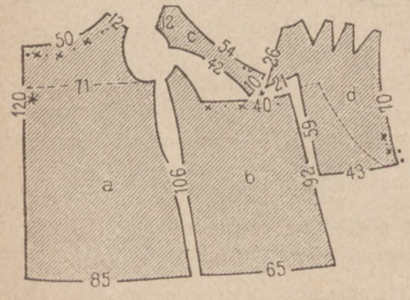
N. 12. Kapotka aksamitna.



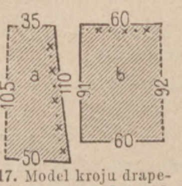
N. 13. Kapotka pleciona ze szneli.



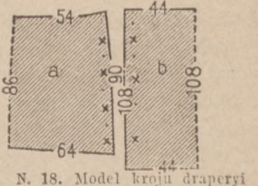
N. 15. Pojedyńcza figura do aplikacyi do ryc. 30 w N-rze 52. Haft krzyżowy.



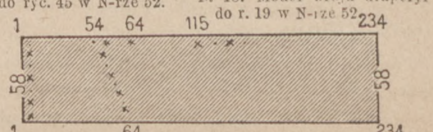
N. 16. Model kroju do płaszczyka r. 2.



N. 17. Model kroju draperyi do ryc. 45 w N-rze 52.



N. 18. Model kroju draperyi do r. 19 w N-rze 52.



N. 19. Model kroju draperyi szalowej do r. 7 i 20 w N-rze 52 Tygodnika Mód.

Opis do N-ru 52.

N. 1. Kapelusz okrągły aksamitny.

Fasonik z prostą główką 10 c. wysoką i rondkiem 3 cent. szerokiem, pokryty czarnym aksamitem; przybranie ułożone z dwóch skosów czarnego aksamitu po 26 c. szerokich, przewiązanych rulonem z aksamitu maissowego koloru, 4 i 2 cent. szerokim. Z boku trzy strusie pióra przypięte agrafką.

N. 2. Kapotka z rondkiem z piórek.

Przy bronzowej aksamitnej kapotce, zdobnej tegoż koloru piórami strusiemi, widzimy rondko pokryte drobniutkiemi piórkami kapłoniemi; szerokie aksamitne końce związane pod brodą.

N. 3. Ubranie spacerowe. Patrz ryc. 4 w N-rze 51. Krój dopasować można podług ryc 47 w N. 47 Tygodnika Mód.

Mając wyciętą formę łatwo będzie podług ryc. 3 i r. 4 w N-rze 51 dopasować to okrycie, którego model był z pluszu ciemno-zielonego, 100 cent. długi z przodu, 80 z tyłu. Podszewka atłasowa lekko podwatowana i przepikowana, może być tego co plusz lub innego koloru; frendzla sznelowa 15 cent. szeroka.

kim formacie krój i wymiar vêtement; zaszewki przedniedane są tylko w podszewce, z brzegów pokrytej aksamitem, stanowiącym kamizelkę 10 cent. szeroką, materyał zaś zwierzchni zakłada się w kilka zakładek, płasko załamanych i przewiązanych podług ryc. 4 wstążką 155 cent. długą. Plecy vêtement upiąć trzeba podług ryc. 5, dodawszy część oddzielną, wskazaną w połowie pod literą *d* na ryc. 29, przyszytą do pleców szwem odwróconym u dołu vêtement od gwiazdki do dwukropka. Górny brzeg składa się w dwie kontrafałdy zostawiając nagłówek 10 turalna), idącego z boku, wzdłuż draperyi, który wycina się z aksamitu i przytwierdza łańcuszkiem maszynowym, dzierga lub obszywa sznureczkiem; na spódnicy dany szlak 25 cent. szeroki, u dołu zaś od spodu wysuwają się dwie falbanki, po 5 cent szerokie, ułożone w rurki. Wymiar i krój tuniki daje rycina 32; fałdy ułożyć trzeba podług znaczków i udrapować na osobie podług r. 5 i 31. Skos aksamitny 7 cent. szeroki otacza baskinę stanika, środkiem pleców i wzdłuż zapięcia przodów założonego w zakładki. Kołnierz stojący ma wązką aplikacyę; z bo-



N. 20. Dawny haft sznureczkowy na płótnie z tłem zapełnionem ściegiem długim. Część deseniu do ryc. 22 w N-rze 52 Tygodnika Mód. Próbka ściegu do zapełniania tła na ryc. 8 w Numerze 52.

N. 4. Suknia z vêtement. Patrz ryc. 5 i 29 w N. 51.

Kostjum ten spacerowy przedstawiał się bardzo efektownie, odrobiony z bronzowego kaszmiru, tegoż koloru aksamitu i mieniącej materyi ponsowo z bronzowem, przerabianej w ciemne aksamitne grochy. Spódnica o ile jest widoczną, dana jest z tej materyi i zakończona falbaneczką 7 cent. szeroką. Ryc. 29 w N-rze 51 daje w maleńcent. szeroki i przyszywa do pleców na 10 cent. poniżej wcięcia stanu. Kołnierz wykładany 10 cent., mankiety 8 cent. szerokie; kokardy z wstążki 6 cent. szerokiej.

N. 5 i 7. Ubrania strojne domowe.

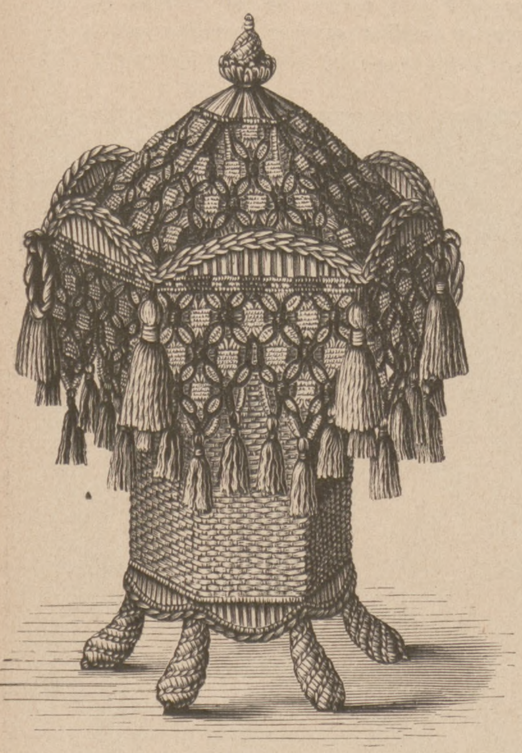
N. 5—6 i 31—32. Suknia zdobna szlakiem z aplikacyi.

Ryc. 6 wskazuje część szlaku wązkiego (wielkość naku kokarda z aksamitki 8 cent. szerokiej. Przy sukni z ciemno zielonego sukna użyty aksamit bordeaux.

N. 7 i 20. Suknia przybrana aksamitem deseniowym. Patrz ryc. 19 w N-rze 51.

Ładnie odbija szlak z aksamitu w deseń o żywych barwach przy sukni z ciemnopopielatego sukienka. Dolny 24 cent. szeroki garnirunek spódnicy składa się z plisowa-

nia 5 cent. szerokiego i pięciu falbanek, wycinanych w ząbki, 7 cent. szerokich. Przód i boki sukni pokrywa plisowanie, okrągławo spuszczone u dołu i oszyte szlakiem 14 cent. szerokim. Powyżej dana draperya z każdego boku upięta odmiennie,



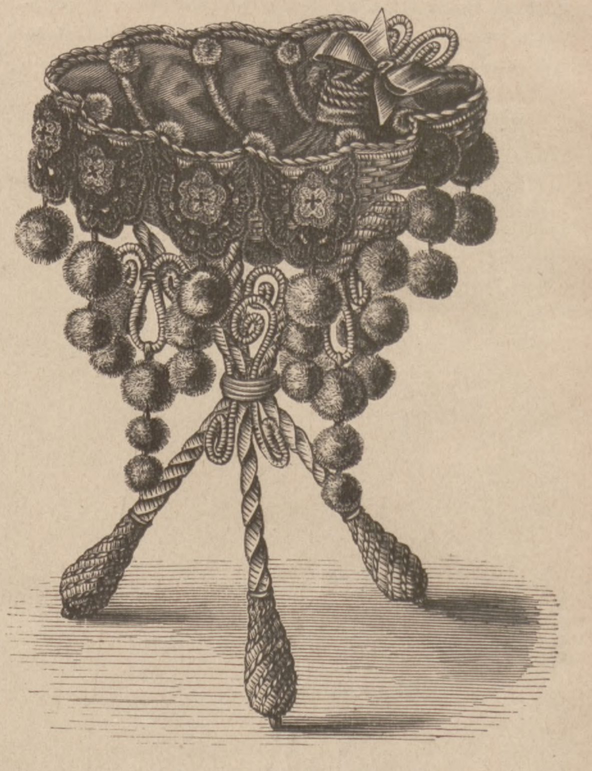
N. 22. Koszyk do bielizny ozdobiony robotą wiązaną „macramé“.

złożona z dwóch brytów wymierzonych i sfałdowanych podług ryc. 18 w N-rze 51. Upięcie ułatwia ryc. 7 i 20; brzeg draperyi przypina się na baskinie stanika na kryte haftki. Na staniku dany z przodu karczek i kamizeleczka z aksamitu, a fałdowanie do dołu zwężone bawetowo z tego co suknia materyału, podług ryc. 20. Węzły aksamitne przytrzymują draperyę z tyłu na baskinie, jak to wskazuje ryc. 7.



N. 21. Ubranie balowe dla młodych osób.

nia ponsowo ściegów poprzecznych, jak to ma miejsce w innych częściach. Ryc. 11 (w powiększeniu) uczy jak białą bawełną zapełniać deseń, tudzież jak przytwierdzać nitki podłużne ponsowemi poprzecznemi ściegami. Piękność haftu stanowią właśnie te ściegi po-

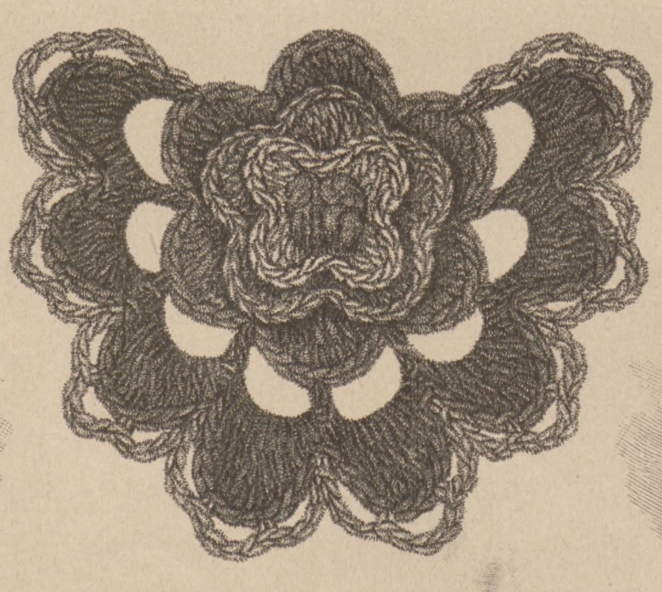


N. 23. Kosz do robót, ozdobiony lambrekiną szydełkową ze szneli. Zobaczyć ząb o połowę zmniejszony do lambrekiny na ryc. 24.

przeczne z któ ych tworzą się różnorodne desenie jak to widzimy na ryc 9—10 i 15—16, przedstawiających wzory wyszycia w wielkości naturalnej t. j. tak jak były na deseniu serwety ryc. 14. Na ryc. 13 wskazaliśmy wyszycie piórek ptaka; ryc. 17 i 18 dają wzory kratek ażurowych odznaczających obrąb serwety w około brzegów. *(D. n.)*



N. 25. Czepeczek z welonikiem.



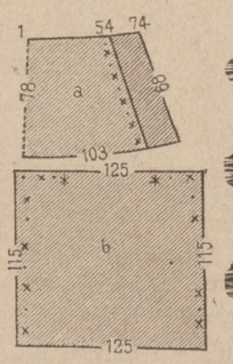
N. 24. Ząb do lambrekiny do koszyka ryc. 23. Robota szydełkowa ze szneli.



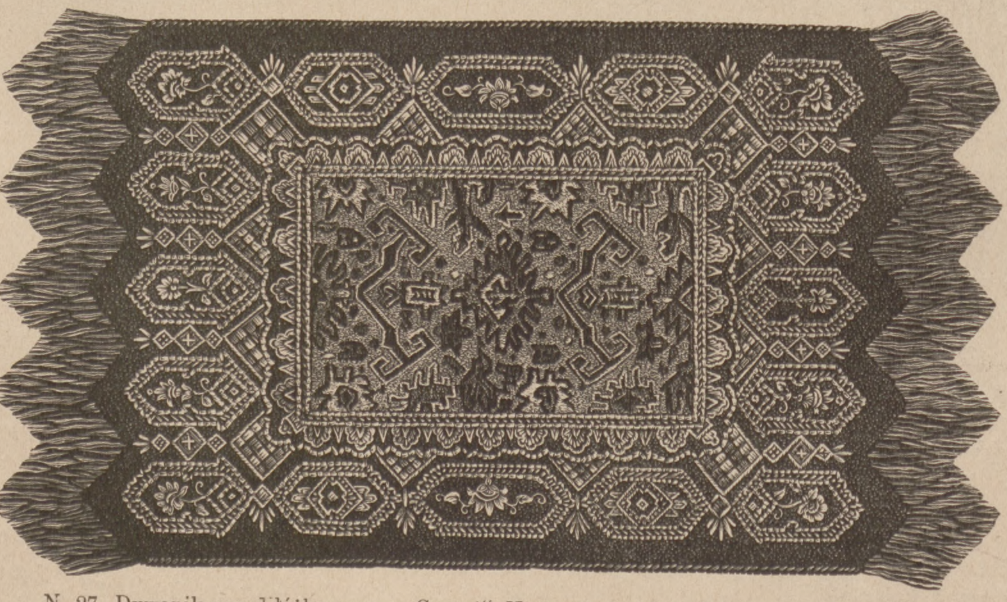
N. 26. Czepeczek strojny z surah.

N. 9—18. Serweta. Haft na płótnie.

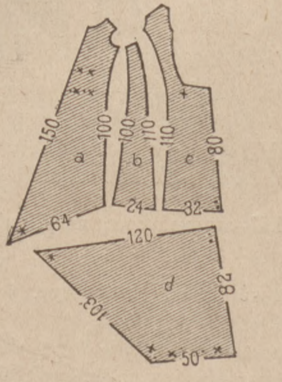
Rycina 14 przedstawia efektowny, starożytny deseń na serwetę liczącą 82 cent. w kwadrat, którego kontury odznaczone są na tle płóciennem bawełną ponsową ściegiem łańcuszkowem. Ażeby deseń był odrobiony poprawnie, najlepiej dać go do wyszycia w maszynie, gdyż ręczne odznaczenie konturów wymaga wielkiej wprawy w robocie. Wszystkie środki między konturami stanowiące właśnie całość deseniu zapełniane są białą bawełną Nr. 25 (Königsgarn); tylko ptak zapełnia się biało bez odznacze-



N. 28. Model kroju draperyi do ryc. 1.



N. 27. Dywanik przed łóżko zwany „Crapet“. Haft smyrneński. Zobaczyć próbkę wązkiego szlaczku na ryc. 21 w N-rze 52.



N. 29. Model kroju vêtement do ryc. 5 w N. 51 i do ryc. 4 w N-rze 52.